ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 14. DNIA 8 KWIETNIA 1933 ROKU

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 8-go KWIETNIA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 14 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Jubileusz tramwajów warszawskich

Z powodu przypadającego w tym czasie 25-ciolecia istnienia tramwajów elektrycznych w Warszawie, zwróciliśmy się do inż. Alfonsa Kühna, długoletniego dyrektora tramwajów warszawskich, b. ministra komunikacji, z prośbą o zobrazowanie rozwoju i stanu obecnego tego największego przedsiębiorstwa municypalnego w Polsce.

26 marca 1908 r. Warszawa po raz pierwszy ujrzała tramwaj elektryczny. Był to w życiu miasta moment niezmiernie ważny. Fizjonomja ulicy uległa zasadniczej zmianie. Obok likwidujących się powolnych, niewygodnych i nieestetycznych tramwajów konnych, zjawiły się szybkie i ładne tramwaje elektryczne.

Chwilę tę poprzedzał długi okres wyczekiwania i zniecierpliwienia. Wyczekiwania, bo Warszawa dopiero po 29 latach od momentu uruchomienia pierwszego tramwaju elektrycznego w Europie otrzymywała tę przedawnioną już nowość. Jako stolica była jedną z ostatnich, a jako miasto w Polsce nie była pierwszą. Zniecierpliwienia, bo około sprawy tramwajowej wytworzyła się atmosfera specjalnego zainteresowania.

Tramwaje konne przez wiele lat były w ręku koncesjonarjusza belgijskiego, a pozbycie się tego koncesjonarjusza było związane z tak uciążliwemi warunkami kontraktu, że wykup tramwajów konnych wielokrotnie przekraczał wartość przedsiębiorstwa. Po dokonaniu wykupu brakowało pieniędzy na przebudowę tramwajów konnych na elektryczne. Różne fazy przechodziło to zagadnienie, aż wreszcie po wielu latach zaczęto je realizować dopiero w 1908 r.

Ćwierćwiecze tramwajów elektrycznych w Warszawie można podzielić na 4 okresy.

Pierwszy okres — to lata od 1908 do 1915.

Był to czas, kiedy po wprowadzeniu tramwajów elektrycznych, po dokonaniu wielkiego kroku naprzód w dziedzinie komunikacji miejskiej, nic więcej nie zrobiono. To, co zbudowano do roku 1909, pozostało niemal bez zmiany do roku 1915.

Powodem tego był fakt, że tramwaje, mimo, iż zbudowane za pieniądze miejskie, były administrowane przez konsorcjum prywatne. Stosunki między Magistratem i tem konsorcjum układały się niedobrze, a wynikiem tego stanu rzeczy było, że Magistrat nie dążył do rozszerzenia przedsiębiorstwa.

Tramwaje przynosiły niesłychane dochody, obsługiwały bowiem jedynie śródmieście, gęsto zaludnione, a taryfa była bardzo wysoka. Na dzisiejszą walutę przejazd kosztował w I-ej klasie 35 groszy, a w II klasie 25 groszy i upoważniał do przejazdu najwyżej 4 kilometrów. Kto jechał dalej, musiał płacić 70 lub 50 groszy. Porannych biletów ulgowych nie było, biletów korespondencyjnych czy powrotnych też nie było. Z ulg szkolnych korzystała tylko niewielka garstka uczniów rosyjskich szkół państwowych. Bilet roczny

kosztował 500 zł. Nawet miejsca stojące na tylnej platformie należały do I klasy.

Tramwaje nie miały żadnej konkurencji, bo taksówki i autobusy nie istniały, a dorożki konne nie mogły odgrywać przez swą powolność poważniejszej roli. Tramwaje miały zagwarantowany monopol w tym stopniu, że nawet uruchomienie omnibusów konnych przez innego przedsiębiorcę było zabronione.

W tych warunkach przedsiębiorstwo dawało stosunkowo kolosalne zyski nietylko miastu, ale i administratorom. Dość powiedzieć, że dochody w trójnasób przekraczały wydatki. I to było główną kością niezgody, chociaż rozrachunek z miastem wynikał z kontraktu, podpisanego przez Magistrat.

Drugi okres — to lata 1915 do 1918, okres okupacji niemieckiej. Okupanci zawładnęli bezpośrednio tramwajami i metodycznie, bezlitośnie niszczyli cały dorobek miasta w tem przedsiębiorstwie. Wywieźli olbrzymią gotówkę (około 9 miljonów marek), zabrali kable, przewody, motory, zapasy magazynowe i wszystko, co jakąkolwiek przedstawiało wartość, nie licząc się ze stanem przedsiębiorstwa. Doprowadzili tramwaje do ruiny; gdyby jeszcze rok lub dwa gospodarowali, to Warszawa wróciłaby z konieczności do tramwajów konnych.

Trzeci okres, to lata 1919 do 1930: okres odbudowy i rozwoju. Okupanci niemieccy, niszcząc tramwaje, jednocześnie znacznie rozszerzyli zadania komunikacyjne gminy, gdyż przyłączyli do miasta wszystkie okoliczne przedmieścia. Terytorjum Warszawy zwiększono czterokrotnie, ludność miasta znacznie wzrosła, tymczasem zdolność przewozowa tramwajów, obsługujących zaledwie część dawnego terytorjum miasta, spadła w trójnasób.

Zadanie było niezwykle ciężkie. Należało obronić przedsiębiorstwo od upadku i wzmóc jak najprędzej środki przewozowe. Przystąpiono niezwłacznie do odbudowy w warunkach niezwykle trudnych, bo w czasie bezpośrednio panującego po wojnie chaosu gospodarczego i społecznego, a w dodatku w okresie nowej wojny polsko-bolszewickiej. Użyto do ruchu wszystko, co się do tego nadawało, a więc wozy towarowe, stare wagony konne, omnibusy konne, przystosowując je do trakcji elektrycznej. Przez parę lat taka zbieranina środków lokomocji zastępowała normalnie funkcjonujące przed wojną tramwaje elektryczne. Przyłączone przedmieścia wołały równocześnie o połączenie ze śródmieściem. Zakupiono więc autobusy i uruchomiono 4 linje na krańce Wielkiej Warszawy.

Autobusy te odegrały dodatkowo zaszczytną rolę przy obronie Warszawy w 1920 r., a zlikwidowano je po kilkoletniej pracy, w miarę tego, jak rozszerzano sieć tramwajów elektrycznych.

Jaki był wysiłek i jaki był wynik pracy w tym okresie, świadczą następujące rezultaty:

Zbudowano linje tramwajowe: do fortu pod Wilanowem, Wierzbna, do końca Rakowieckiej, do Opaczewskiej i Okęcia, do końca Wolskiej, do przejazdu kolejowego na ul. Bema, do końca Górczewskiej, do Obozowej, Elbląskiej na Powązkach, Żoliborza i Marymontu, do Nowego Bródna i Pelcowizny, do końca Radzymińskiej, do końca Kawenczyńskiej, do Grochowa i Gocławka oraz szereg linji w śródmieściu, jako to przez most Poniatowskiego, Zieleniecką, Towarową, pozostałą część Leszna, do końca Gęsiej, Okopową.

Liczby porównawcze są następujące:

	1918 r.	1930 r.	wzrost o %
Liczba pasażerów w milj. . . .	95	242	150
Liczba wozokilometrów w milj. .	9,8	39,2	300
Długość sieci klm.	42,5	96,28	125
Liczba wozów w ruchu . . .	257	671	160
Liczba pracowników	1925	5698	200
Wartość inwentarza w milj. zł. . .	42	101	150

Ten korzystny rezultat w dużej mierze zawdzięczać należy okoliczności, że tramwaje administrowane już bezpośrednio przez gminę korzystały, jako przedsiębiorstwo, z szeroko pojętej autonomii.

Czwarty okres, to lata 1931 do 1933.

Jest to okres kryzysu gospodarczego. Wstrzymano inwestycje. Zmniejszono wszelkie zasoby przedsiębiorstwa, czy to gotówkowe, czy też materjałowe. Ograniczono konserwację.

Dziś przedsiębiorstwo nietylko stanęło w swym rozwoju, ale zaczęło się poniekąd cofać. Miasto tymczasem żyje i potrzeby komunikacyjne rosną. I mimo, że przedsiębiorstwo tramwajowe uruchomiło własne linje autobusowe, to zjawiły się już przedsiębiorstwa prywatne autobusowe, wobec których gmina w wytworzonym stanie rzeczy jest bezsilna.

Okres czwarty upodobnia się do pierwszego, a właściwie jest nawet od niego gorszy.

Należy wierzyć, że taki stan rzeczy prędko minie, że z chwilą złagodzenia napięcia kryzysu powrócą warunki, przy których przedsiębiorstwo tramwajów i autobusów rozpocznie na nowo odgrywać rolę rozwojową dla stolicy, przynosząc tem ludności, a i kasie miejskiej pośrednio korzyść znacznie większą, aniżeli bezpośrednio uzyskiwane nadwyżki gotówkowe.

Wierzę, że nastąpi to w najbliższym czasie i życzę, aby, iak w roku 1908 jedynym konkurentem tramwaju elektrycznego była dorożka konna, jak teraz, w roku 1933, konkurentem tramwaju są taksówka i autobus, tak aby w roku 1958 konkurentem tramwaju były, obok taksówki i autobusu, również: trolejbus, kolej podziemna i miejskie linje lotnicze.

Inż. A. Kühn.

Zakończona została tegoroczna sesja zwyczajna Sejmu i Senatu. Była ona wyjątkowo pracowita i mozolna, gdyż przyniosła cały szereg ustaw zasadniczego dla państwa znaczenia.

Po zamknięciu sesji leader większości, prezes Sławek wygłosił wobec swego klubu przemówienie, w którem zobrazował wyniki prac parlamentarnych.

Już w pierwszem zdaniu ujął on właściwie rolę posłów, mówiąc:

„Jednym z naszych obowiązków jest reprezentowanie potrzeb, postulatów, poglądów, idących od społeczeństwa. Dbanie o to, by rozbieżne interesy, czy też tendencje zostały w izbach ustawodawczych uzgodnione i aby z tego powstało prawo, które ma wszystkich obowiązywać".

Istotnie, są to dwa zadania przedstawicielstwa narodowego. Musi ono przedewszystkiem odzwierciadlać życzenia społeczeństwa, rozumieć je, wczuwać się w jego potrzeby, a następnie musi różnorodność i wielostronność tendencji i interesów uzgadniać, syntetyzować, aby zaspokoić możliwie wszystkie uprawnione dążenia i wnieść w życie narodu i państwa maximum harmonji.

Gdyby postulaty, wysunięte przez prezesa Sławka, mogły być zrealizowane, mniej byłoby w społeczeństwie sporów, podejrzeń i nienawiści, a więcej poczucia solidarności i wzajemnego zaufania.

JAK ROZBRAJAJĄ SIĘ NIEMCY?

W porcie wojennym Wilhelmshaven odbyła się uroczystość spuszczenia na wodę drugiego, zbudowanego po wojnie pancernika B, któremu nadano nazwę „Admirał Scheer", dla uczczenia dowodzącego flotą niemiecką w bitwie pod Skagerrak

Jednocześnie dokonano przejęcia przez marynarkę wojenną i rozpoczęcia służby na pierwszym powojennym pancerniku niemieckim — „Deutschland", którego załogę stanowi dawna obsada krążownika „Emden" Fot. „New York Times"



TYDZIEŃ ŚWIATA

Rozpływająca się dyktatura

(V.) Rzymski projekt „dyktatury czterech mocarstw" dla przeprowadzenia rewizji granic — taje w naszych oczach pod prześwietlającemi go promieniami opinji publicznej. Już w przejeździe z nad Tybru na brzegi Tamizy stracił kanciastość i ostrość. Nad Sekwaną uległ dalszej poleryzacji. Najciekawsze jednak, że sam Mussolini wyparł się swego dziecka, zaprzeczając, jakoby proponował jakiekolwiek zmiany terytorjalne w Europie. Słowem z upiora, mogącego wywołać wojnę, projekt współpracy czterech mocarstw staje się jeszcze jednym niewinnym instrumentem utrzymania pokoju, coś w rodzaju paktu Kelloga. Wiadomo, że rok rocznie w stosunkach międzynarodowych przybywa taka platoniczna gwarancja bezpieczeństwa.

To wyrwanie jadowitych zębów projektowi rzymskiemu zawdzięczać należy energji dvplomacji Polski i Małej Ententy, działających osobno, lecz w jednym kierunku. Wspólna deklaracja Czechosłowacji, Jugosławji i Rumunji, oraz podróż ministra Titulescu do Paryża i Londynu — wykazały zdecydowany opór bloku tych państw, których lekceważyć nie można.

Jeszcze silniej uwydatniła się postawa Polski. Dyplomacja nasza — co stwierdzamy z radością i dumą — dokonała szeregu śmiałych i szczęśliwych posunięć, ukoronowanych oświadczeniem ministra Becka, złożonem ambasadorowi angielskiemu Erskine'owi, że Polska nie będzie się uważać związaną przez jakiekolwiek rezolucje, pochodzące od grupy mocarstw, utworzonej na podstawie propozycji rzymskiej".

Krótko, wyraźnie i słusznie.

Replika

(go.). Byliśmy świadkami w tych dniach ostrej rozmowy z pewnym cudzoziemcem, który — w towarzystwie prywatnem, gdzie nie było dyplomatów, więc nie było szablonu wzajemnych komplementów — bardzo otwarcie, biorąc tytuł szczerości z należenia do narodu zaprzyjaźnionego, krytykował stan rzeczy w Polsce: nędzę, bezrobocie, zastój, brak zaufania.

Był wymowny, wreszcie skończył.

Nastąpiło ponure milczenie.

Naraz z polskiej strony padło słowo:

— To wyście temu winni.

Cudzoziemiec wziął to naprzód za żart.

— Tak wy. Wy tolerujecie propagandę niemiecką przeciwko nam, która ma na celu podkopanie naszego kredytu i utrzymanie w świecie przekonania, że na naszem Pomorzu znajduje się zarzewie wojny. Wy wierzycie temu i siejecie panikę wśród kapitalistów, którzy oczywiście boją się naszego rynku. Na was spada odpowiedzialność, bo zamykacie dla naszej emigracji wasz kraj, który ludzi potrzebuje. Wy tolerujecie paszkwilantów, oczerniających Polskę, co podrywa wiarę w nas i zaufanie. Wyście zresztą tolerowali trzymanie nas w kajdanach przez sto lat i dziś jeszcze nie możecie się pogodzić z faktem, że my jesteśmy obecni i że liczymy sobie dziesięć wieków, a nie 15 lat, jak wam się zdaje. Nam niepotrzebna guwernantka, tylko wspólnik do interesu. I to z kapitałem.

Cudzoziemiec spostrzegł się wreszcie, że to nie żart. Starał się tłumaczyć, ale bez powodzenia.

Gdyśmy wychodzili, był bardzo zamyślony.

Nogi w ruchu

(go.). Dziwna jest ta nasza epoka. Ciągle wszyscy maszerują. Marsz Mussoliniego na Rzym, marsz Hitlera na Berlin, marsz bezrobotnych na Waszyngton, marsz głodnych na Londyn. W New Yorku żydzi maszerują — na Berlin, a w Berlinie hitlerowcy maszerują na żydów. Reichswehra maszeruje na zachód, Stahlhelm na wschód. Ciągle wszyscy naszerują.

Co za zdrowe nogi!

I co za wakacje!

Dawniej ludzie siedzieli przy warsztatach, czasem się tylko podnieśli, żeby zburzyć Bastylję lub wznieść barykady i znów siadali do pracy.

A dziś ciągle maszerują.

Bismark bardzo musiał się napracować, nim został kanclerzem. Hitler został kanclerzem, bo kilka lat maszerował.

Wszystkie pisma ilustrowane świata pełne są zdjęć z tych ciągłych marszów.

Cóż dziwnego, że jest tak źle, skoro rozum stanu z głowy przeszedł w nogi.

Wojna niemiecko-żydowska

(Wig.) Oddawna wiadomo, że można wygrać szereg bitw, a przegrać wojnę.

Niemcy odnieśli ostatniemi dniami zdecydowane zwycięstwa, jeśli nie w bitwach, to w bitkach z żydami: nikt nie zliczy, ilu własnych i obcych obywateli pochodzenia żydowskiego poraniono, ilu zdemolowano mieszkania i warsztaty pracy, ilu męczono w najrozmaitszy sposób i ilu wprost wyprawiono na tamten świat.

Steroryzowani żydzi zaczęli gremjalnie uciekać zagranicę, kryć się przed oczami hitlerowców, wypierać swego pochodzenia. Zdawało się, że lada chwila rycerze Swastyki otrąbią swe zwycięstwo.

Aż zgoła nieoczekiwanie zatrąbili do odwrotu. Padł rozkaz przerwania bojkotu żydów i zaniechania gwałtów. Przyczynę tego zwrotu wyjaśnił kierownik komitetu bojkotowego w Niemczech — Streicher, przyznając, że kontynuowanie ostrego kursu antysemickiego naraziłoby Niemcy na „nieobliczalne następstwa gospodarcze".

Wojnę z żydami Rzesza narazie przegrała. Czy nie będzie chciała szukać swoim zwyczajem „rewanżu" — wkrótce zobaczymy.

Utrata przyjaciela

(V.) Wynik nowej polityki Niemiec wyraził się nietylko groźbą ich gospodarczej izolacji. Dał on jeszcze inny efekt: wierny przyjaciel rapalski — Sowiety zgłosiły ostry protest przeciwko brutalnemu traktowaniu ich obywateli i ekspozytur handlowych, a prasa sowiecka wprost zagroziła zerwaniem umów politycznych i ekonomicznych oraz stosunków gospodarczych.

Jak na miesięczne rządy Hitlera — dość sukcesów. — Ale jego zwolennicy są zadowoleni.

Znamienny objaw

(skrz) O nastrojach społeczeństwa francuskiego świadczy niedwuznacznie sztuka Pawła Raynela, wystawiona świeżo w „Komedji Francuskiej" w Paryżu. Treść jej jest następująca: W posiadłości

W O J N A   N I E M C O W   Z   Z Y D A M I

W dniu 1 kwietnia ulicami Berlina i innych miast niemieckich przeciągały długie pochody hitlerowców, z wezwaniem do bojkotu żydów

Przed sklepami żydowskiemi ustawiono warty hitlerowców i wywieszono napisy, nawołujące do niekupowania u żydów. Tłumy publiczności przyglądały się temu widowisku

Fot. The New-York Times

wiejskiej na terenie, zajętym przez wojska niemieckie, zamieszkuje wyższy oficer niemiecki, książęcego rodu. We dworze pozostała tylko młoda kobieta i kilkonastoletni, niezdolny jeszcze do noszenia broni chłopiec. Wszyscy mężczyźni poszli na wojnę. Rozgrywa się właśnie bitwa nad Marną.

I oto dramat, który przechodziła wówczas Francja, rozgrywa się w duszach trojga ludzi, jednakowo szlachetnych i jednakowo miłujących swoje ojczyzny. Pisarz francuski usiłuje bowiem być jaknajbardziej objektywnym w stosunku do przedstawiciela inwazji, usiłuje wytłomaczyć i usprawiedliwić jego uczucia. Dramat, teatralnie dość słaby, przepełniony dyskusjami, nie osiągnie prawdopodobnie powodzenia. Niebezpieczna to rzecz dla Sztuki wkraczanie w szranki walk politycznych, które się dopiero rozgrywają i których wynik może być zgoła niespodziewany...

Pierwsze jaskółki...

Dyrekcje kolejowe: krakowska, lwowska i stanisławowska rozpoczęły wzorem zagranicy wypuszczanie specjalnych *pociągów teatralnych*, które ze Stanisławowa dowiozły już pierwszych podróżników teatralnych do teatrów lwowskich, ze Lwowa do Krakowa i z Krakowa do Lwowa.

Brawo P. K. P.!

Teraz warszawskie teatry oczekiwać będą pociągów z Wilna (można kumulować kilka miast przydrożnych), Lublina, Łodzi no, i oczywiście z Poznania, Krakowa, Katowic i t. d.

Jesteśmy może w przededniu *wiosny teatralnej*. W każdym razie europeizujemy się.

Zgon czy jubileusz?

(Wig.). W Warszawie istnieje Towarzystwo Bibljotek Powszechnych, utrzymujące 25 czytelń pism i wypożyczalni książek, rozrzuconych po różnych dzielnicach. Za opłatą 1 zł. miesięcznie można otrzymać naraz 2 książki do czytania i zmieniać je kilkakrotnie. Młodzież i sfery najuboższe chętnie korzystają z tej krynicy wiedzy. Liczba stałych abonentów wynosi kilkanaście tysięcy, a obieg książek dosięga ½ miljona rocznie.

Towarzystwo posiada piękną historję. Wywodzi się ono w prostej linji od Wydziału czyteń przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności, najstarszej instytucji oświatowej w b. zaborze rosyjskim, jedynego przez długie lata ośrodka kulturalnego dla szerokich mas.

Wydział czyteln, skromnie ukryty pod firmą filantropijną, jedynie w tych czasach tolerowaną, powstał w 1858 roku z inicjatywy Jana Tadeusza ks. Lubomirskiego i Jana Gauthier. Ile wymagał poświęceń, ile pochłonął entuzjazmu, pracy i ofiar, jakim podlegał szykanom — któż to dzisiaj zliczy? Ale przetrwał do lepszych czasów, gdy po roku 1905 można było jawnie prowadzić akcję oświatową i powołać do życia pokrewną organizację Tow. Czyteln m. Warszawy. Doczekał wreszcie chwili wyzwolenia Polski. Odtąd dwie instytucje złączone zostały pod właściwą nazwą dzisiejszą: Towarzystwa Bibljotek Powszechnych.

Zdawało się, że w niepodległem państwie egzystencja senjoralnej organizacji oświatowej będzie zapewniona. Stało się inaczej — nie bez winy kierowników instytucji. Oparli oni cały byt Bibljotek na subsydjach rządowych i miejskich. W latach dobrych nadzieje nie zawiodły. Ale teraz zarówno skarb państwa, jak i kasa miejska zamknęły się szczelnie. Tymczasem Towarzystwo, istniejące od 75 lat i utrzymujące 25 bibljotek w stolicy, liczy zaledwie... 120 członków. 120 członków w miljonowem mieście! Wpłacają oni po 10 zł. rocznej składki, co daje 1200 zł.; a potrzeba 50 tys. na rok! Jest to różnica olbrzymia. Ale całą potrzebną sumę możnaby pokryć ze składek, gdyby liczba członków wzrosła do 5 tys. Czyż to są mrzonki? Czy w Warszawie, stolicy 32 miljonowego państwa, największem, najbogatszem, najkulturalniejszem mieście polskiem, nie znajdzie się 5 tys. osób, mogących przeznaczyć 10 zł. rocznie na zasłużoną instytucję oświatową? Czyż ma ona zginąć w 75 roku swego istnienia, w roku jubileuszowym?

Nie wierzymy!

„Punktualność" w sądach

(ivr.) Sądy nasze zawalone są sprawami. Nie przesądza to jednak, aby nie miało obowiązywać w nich poszanowanie czasu zarówno stron, jak i świadków. Tymczasem sądy okazują w tym kierunku zupełne lekceważenie. Większość spraw naznaczana jest na godzinę 9-tą rano, ponieważ komplet sędziowski schodzi się około... 10-ej. Za częste i za długie są też przerwy, wypełniane piciem herbatki.

W tych warunkach na porządku dziennym są wypadki, że sprawa, wyznaczona na godzinę 9-tą, rozpatrywana jest popołudniu.

Wyjątkową niepunktualnością odznaczają się sądy pracy, widocznie dlatego, że ich klientelę stanowią wyłącznie ludzie pracy. Nie bierze się pod uwagę, że strony, jakoteż świadkowie, by spełnić swój obowiązek, muszą opuszczać biura, fabryki, warsztaty i niejednokrotnie narażać się na przykrości, których możnaby bardzo łatwo uniknąć przez inny rozkład spraw i przestrzeganie punktualności.

Kiedyż nareszcie obowiązywać zacznie w Polsce zasada: „Times is money"?

Tragiczny czas siewby

(sg.) Niczem niepohamowany jest pęd Polaka do ziemi. Ani wojny, ani wstrząsy dziejowe, ani klęski żywiołowe nie odstraszą rolnika naszego od zwykłej, codziennej pracy na ojczystym zagonie.

Uprawia i obsiewa swoją ziemię Polak wtedy nawet, kiedy ta praca daje mu nie zyski, lecz wyraźne straty. Tak jest już od lat paru w Polsce, że za płody swoje rolnik otrzymuje połowę, a niekiedy nawet tylko trzecią część kosztów własnych. A jednak orze i sieje.

Na tem fanatycznem przywiązaniu Polaka do roli i pracy na niej wyrosła wielka potęga narodowa, która oprzeć się potrafiła wszystkim huraganom, przechodzącym nad Polską.

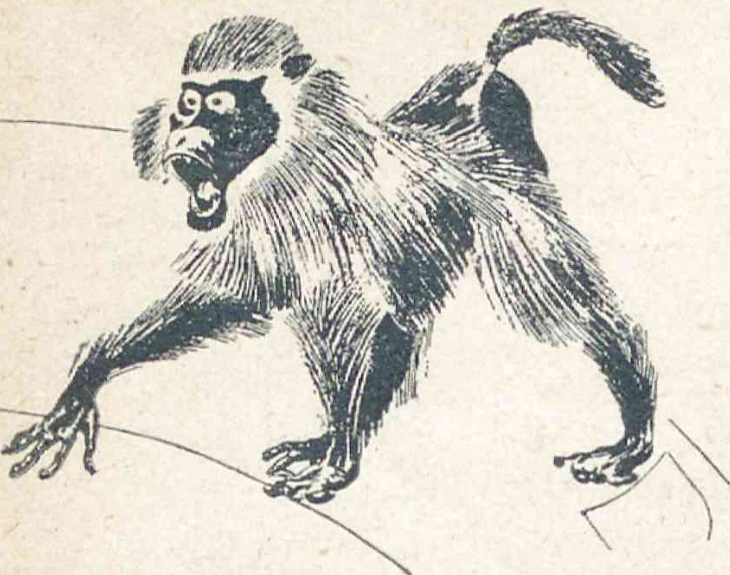
Biada jednak rolnikowi, kiedy ziemię zaorał, ale zbrakło mu ziarna na zasiew. Dramat zaczyna się dopiero tutaj!

Tej wiosny setki ziemian i tysiące chłopów niema czem obsiać uprawionej roli. Nie skutki nieurodzaju ani pożogi sprawiły to. Zboże rozdrapali wierzyciele, komornicy, sekwestratorzy... Pod naciskiem dokuczliwej śruby podatkowej i procentowej sprzedał rolnik całą swą krescencję.

Słońce przygrzewa, ptactwo zleciało się z po za mórz i obwieszcza rolnikowi wiosnę. A on patrzy na swój trud włożony w glebę, na te obeschłe już zagony i nie ma z czem wyjść w pole, aby zapłodnić ziarnem w skiby poorane grunty.

Oto dramat oracza, któremu nie sądzono tej wiosny zostać siewcą!

Pomoc z miasta?... Mówi się o kredycie siewnym dla drobnej własności. Ale czy przyjdzie w porę. I któż pomoże większej własności? Słońce coraz promienniejsze, dzień dłuższy. Czas już siać!



Sam wśród dzikusów

Część druga wspomnień podróżniczo-myśliwskich z Afryki
9) **Środkowej p. t. „Od oceanu do oceanu"**

Okazuje się, że bezpośrednio na północ od Port Lamy zaczynają się bardzo dobre tereny, gdzie można spotkać nosorożce, hypopotamy, bawoły, antylopy i wogóle przedstawicieli całej prawie fauny afrykańskiej w dość wielkich ilościach. Pozwolenia na polowania udziela administrator; są one trzech rodzajów: „Permi commercial", który kosztuje 10.000 franków, dający prawo strzelania wszelkiej napotkanej zwierzyny, bez żadnego ograniczenia przez rok cały; „Permi sportif", dający prawo zabicia 7 dużych sztuk, jak słonie lub nosorożce, i kosztujący 7.000 fr., oraz „Petit permi" na wszelkie stworzenia, prócz słoni, nosorożców oraz małp, na futra, który kosztuje rocznie 100 franków. Przyczem „permi sportif" nie daje prawa sprzedaży kłów słoni ani kłów nosorożców, które są głównym objektem handlu dla myśliwego i dają znaczny dochód.

Zaopatrzywszy się w pozwolenie, zacząłem się starać o zorganizowanie wyprawy, zebranie ludzi, oraz odpowiednich przewodników, znających teren i niebezpieczne bagna, otaczające bezpośrednie sąsiedztwo jeziora Tchad.

Mój obóz był rozbity nad Chari w malowniczym lasku palmowym, zdala od miasta. Rano wyjeżdżałem do Lamy, gdzie konferowałem z przeróżnymi typami, chcąc zebrać odpowiednią kompanję ludzi zdecydowanych i pewnych. Wśród przeróżnych czarnych „inteligentów" znalazł się człowiek z dobremi rekomendacjami, niejaki Yousouff, dawny sierżant senegalczyków, zawołany myśliwy, dobry tropiciel, ale, jak mi mówiono, straszny pijak i złodziej. Powierzyłem mu znalezienie i dobranie dwudziestu lub więcej tragarzy i jednocześnie naganiaczy, którzy mogliby mi w polowaniu towarzyszyć. Jego nałogów nie obawiałem się, gdyż wziąwszy sam ster wyprawy w rękę, byłem pewien, że na żadne wybryki nie pozwolę i surowo karać będę wszelkie przekroczenia, co Yousouffowi zapowiedziałem na wstępie. Tragarzy zgodziłem za zapłatą 1 franka dziennie, w miarę tego, jak będzie świeże mięso z polowania; zapłatę tę pobierać będą bowiem w suszonem mięsie.

Pozostawiłem auto z całym bagażem w szopie u administratora i następnego dnia cała karawana ochoczo ruszyła na północ. Zapomniałem dodać najważniejszy szczegół mej nowej lokomocji: mianowicie do mego inwentarza przybył osioł, bardzo ładny myszaty zwierzak z czarną pręgą wzdłuż grzbietu. Jest to nieoceniony pomocnik w dalekich marszach wśród spalonych stepów i kolących gałęzi; prócz tego z wysokości oślego grzbietu z pogardą spoglądać mogę na wszelkie żmije i węże, których wielkie ilości spotyka się podobno nad jeziorem i w najbliższej jego okolicy. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów siedziałem na wierzchowcu, choć coprawda niezbyt rączym, ale zato pewnym.

Po dwóch godzinach drogi spotkałem stado fakoszerów, spokojnie leżących wśród trzęsawiska. Ponieważ mahometanie nie jadają tego mięsa, więc tylko dla pięknych „szabli", t. j. kłów, zabiłem jednego odyńca, a i to musiałem sam rąbać mu czaszkę, bo moi ludzie nie chcieli nawet dotknąć się pogardzanej przez Allaha świni.

Upał był nie do wytrzymania, słońce roztopionym ołowiem lało z góry swe straszliwe promienie; z ziemi opary falowały w jasności oślepiającej południa, tak że z niemi tańczyła cała atmosfera, drzewa i krzewy i każda sztuka zwierzyny napotkanej. Do tego falowania długo trzeba się przyzwyczajać, nim się uchwyci moment, gdy można kulę skutecznie ulokować. Pierwsze moje polowania w tych warunkach dały mi nader skąpe rezultaty: nic absolutnie nie mogłem trafić, i dopiero po pewnym czasie, oswoiwszy się z drgającemi celami, potrafiłem strzelać należycie.



Z wysokości oślego grzbietu z pogardą spoglądać można na żmije i węże

Szlakiem jakiegoś dawnego potoku wolno posuwałem się naprzód z karabinem przerzuconym wpoprzek arabskiej kulbaki, z nogami wygodnie zasuniętemi w ogromne o szerokiej podstawie strzemiona.

Yousouff szedł przedemną, niosąc uprząż, co chwila wypuszczając jakieś złowróżbne pomruki i klnąc na tragarzy gardłowemi słowy. Był to wielki drab o kolosalnej sile, wiecznie gniewny i gotów do bitki. Bali się go czarni, jak żmii i woleli ustąpić w każdym wypadku, niż narazić się Yousouffowej pięści szerokiej, jak patelnia. Połowa ludzi szła przed nami, reszta, niosąca mniej cenne rzeczy, wlokła się długim gęsim krokiem za nami.

Wtem rozdarł ciszę savanny nieludzki krzyk, coś się za mną zakotłowało i wszystko ucichło. Gdy czarni ochłonęli z przerażenia, Jousouff szybko pobiegł na tył karawany i z niemałem przerażeniem znalazł ładunek słodkich kartofli, który niósł tragarz na głowie, lecz tego ostatniego nie było nawet śladu i tylko liczne krwawe plamy świadczyły, że zdarzył się tu jakiś straszny dramat. Ślady wiodły w kierunku gęstych zarośli i po paru odciskach na gliniastej ziemi poznaliśmy, że była to sprawka dużego lamparta, który z zasadzki wyskoczywszy, porwał ostatniego murzyna z karawany. Pogoń za drapieżnikiem nie dałaby żadnych rezultatów. Czarni lamentowali, opłakując towarzysza i prosili, aby nędznika, krwiożerczego „czui" zabić i pomścić murzyńską krew.

Momentalnie rozbiliśmy obóz pod ślicznym gaikiem akacji, poczem udałem się z Yousouffem i paru lepszymi ludźmi na poszukiwanie miejsca na zbudowanie „ambony"[1]). Miejsce okazało się bar-

---

[1]) „ambona" w terminie myśliwskim oznacza między gałęziami drzewa umieszczony schron dla myśliwego, polującego „na zasiadkę".

dzo dobrze wybranem; był to bowiem przesmyk między zwałami zwietrzałych skał i tędy ciągnęła zwierzyna do wodopoju. Pozostawiwszy Yousouffa z czarnymi przy robocie, sam w towarzystwie dwóch murzynów udałem się na poszukiwania antylopy lub bawołu na przynętę. Wkrótce napotkałem stado bawołów, pasących się w otwartym terenie, zrzadka zarośniętym kępkami karłowatych krzewów. Zaczęło się mozolne podchodzenie, to skulony we dwoje, to na kolanach lub wogóle w pełzającej pozie ze sztucerem, bełtającym się na grzbiecie w b. niewygodnem położeniu. Obaj czarni pozostali w tyle, nie można bowiem nigdy na ich pomoc liczyć.

Z boku oddalony o 60 lub 80 metrów pasł się ogromny byk o wielkich rozłożystych rogach i czarnej, połyskującej szerści. Dzieliła mnie od niego znaczna przestrzeń. Zlany potem powoli, krok za krokiem, zbliżałem się do niego, lecz zdawało mi się, że drogi nie ubywa wcale. Wtem powiał lekki zefirek, musnął rozpalonem tchem po mnie i w tej chwili bawół podniósł ogromną głowę i, zatrzymawszy potężne żuchwy, stanął nieruchomo z wytężoną uwagą w moją stronę. Postąpił dwa kroki naprzód i bez namysłu, widocznie nietylko zwietrzywszy mnie, ale i wziąwszy na oko, ruszył galopem wprost na mnie. O schowaniu się gdziekolwiek nie mogło być mowy. — Jak huragan, mknął bawół i tylko ziemia dudniła pod nim. Gdy był na 60 kroków, posłałem pierwszą kulę; jednak — jak się później okazało — był to „sztrajfszus" i tylko bardziej rozjuszyło byka piekące cięcie kuli po grzbiecie. Odległość zmniejszała się z zawrotną szybkością, wkrótce będzie za późno. Druga — ostatnia kula musi zdecydować o mojem lub jego życiu. Z całą siłą woli skupiony posłałem mu nie dalej, jak na trzydzieści kroków, ostatnią kulę, która zrulowała go na miejscu. Dwa razy przewinął się w zawrotnym koźle, jak zając; kulę dostał na wysoki kark pomiędzy łopatki. Śmierć nastąpiła prawie momentalnie.

Wszystko to stało się tak szybko, że nie miałem czasu zebrać myśli, skupiając cały wysiłek woli i nerwów w takie rozłożenie atakującego byka. Była to piękna sztuka, duży stary bawół, jeden z tych, które zwykle stoją na warcie, strzegąc stado przed atakiem lwów, lampartów, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Ponieważ nie było mowy o pociągnięciu całej sztuki aż do ambony, więc negrzy poćwiartowali ją z wielką wprawą na polach i ruszyli w stronę zasiadki. Łeb tego pięknego byka zabrałem ze sobą nawet do Europy; miał on nad okiem wycyrklowaną symetryczną dziurę od kuli.



Była to piękna sztuka, duży stary bawół

Na drodze odwrotnej zatrzymałem się wraz z mymi ludźmi nad ruczajem, wartko płynącym wśród wysuszonego łożyska, które w czasie deszczów po brzegi się zapełnia. Woda, choć mętna, była dość smaczna. Odetchnąłem trochę, z rozkoszą pławiąc się w wodzie. Wtem wśród cienkiego białego piasku zaiskrzyło się coś jaskrawym metalicznym blaskiem. Po dokładnem przyjrzeniu się przekonałem się, że to czyste i szczere złoto w postaci drobnych zbitych grudek. Złoto! bogactwo! założyć przemywalnie i czerpać miljony, które u moich stóp leżą! Niestety, złoto należy do rządu i wszelka eksploatacja tego metalu jest niedozwoloną przez władzę kolonjalną i surowo karana administracyjnie. Przypatrzywszy się więc zakopanym skarbom, z prawdziwą przykrością opuściłem łożysko rzeczki złotonośnej, żałując, że to nie Klondyke lub Kalifornia, gdzie każdy ma prawo płukania złota bez zastrzeżeń. Taki to już los mój! Tylko fortuna uśmiecha mi się na to, aby za chwilę język pokazać.

Mięso kazałem złożyć w pobliżu ambony, dość wysoko nad ziemią, poprzyczepiać na gałęziach drzew i krzewów, aby szakale i hyeny nie rozwłóczyły wnet wszystkiego. Gdy udałem się do obozu, czekało tam panu konnych myśliwców wojowników na pięknych arabskich siwych lub jabłkowitych koniach. Prosili o pomoc. Nad ranem lwy porwały dwie sztuki bydląt i rozszarpały na kawałki dwóch pastuchów, śpiących w pobliżu przy zgaszonem ognisku. Lwy panicznie boją się ognia; jest to jedyna gwarancja i ochrona przed niemi, często się jednak zdarza, że przez nieuwagę czarni dadzą wygasnąć ognisku i wtedy stają się łupem drapieżników.

Prosili oni w imieniu potężnego sultaniego o zabicie lwów, pytając, jakie dary pragnę wzamian otrzymać. Choć propozycja była bardzo nęcąca, lecz kazałem na swoją odpowiedź dłużej zaczekać, aby nie dać poznać, jak bardzo mi na tem zależy; to też spokojnie zasiadłem do posiłku, rozważając konjunktury i wahając się w decyzji.

Głównie brak mi było konia pod wierzch. Jakże idealnie możnaby polować z konia, jakie przestrzenie przebywać, zamiast w trzęsących tipoy'ach lub na piechotę! A konie rasowe, piękne araby, szybkie jak wiatr pustyni, wierne jak psy, nad podziw mądre.

Powiedziałem przez tłomacza wojownikom, że mając polowanie identyczne tuż niedaleko, nie skorzystam z jego zaproszenia, o ile nie ofiaruje mi młodego, dobrze ujeżdżonego konia z całym ekwipunkiem. Inaczej niech Allah wielki zajmie się bolączkami sułtana, a jego wojownicy powinni pomścić zabitych pastuchów i krowy.

(Dok. nast.). *Wojciech Marylski*

WIELKI JARMARK SZTUKI W WARSZAWIE

Nie tak dawno, bo jeszcze za czasów króla Stanisława, na straganach przy ulicy Miodowej, a często i w okolicznych oberżach, rozkładali majstrowie malarscy, grawerzy, drzewo - i miedziorytnicy, rzeźbiarze — figury lub snycerskie swoje dzieła.

W okolicy świąt Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, w czasie jarmarków na konie i wełnę, aż uginały się stragany od dzieł sztuki, bo przecież bylejaki nawet chrześcijanin pragnął wizerunek Matki Bożej lub szczególnie adorowanego przez siebie patrona zawiesić w domu.

Widoki pięknych krajobrazów, sztychy sławnych ludzi, sceny z historji także nie były w pogardzie; malowany ryngraf nosił na piersiach każdy niemal towarzysz chorągwi, a celem zrobienia konterfektu małżonki lub swego własnego zabierał szlachcic lub mieszczanin majstra pędzlarskiego wprost od straganu lub z karczmy do swego domu.

Uboższych malowano na miejscu. Tylko rozreklamowani i zepsuci powodzeniem mistrzowie nie wynosili obrazów z pracowni na ulicę, chociaż można było spotkać na straganach dzieła pana Bacciarellego i Lampiego, Smuglewicza i t. d.

Płacono za nie dobrze i gotówką. Taki rodzaj sprzedaży dzieł sztuki kwitnął przez kilkaset lat nie tylko w Warszawie, ale w całym świecie, bez oficjalnych salonów, instytutów propagandy, towarzystw Zachęty, a sztuka była wielka, artyści genialni i czasem nawet zadowoleni z życia, nie zatruwała ich bowiem krytyka, zabójczyni entuzjazmu twórczego, kostyczna, wątrobiana guwernantka, która dlatego nie umie wychowywać, bo brak w jej sercu najważniejszego argumentu: miłości do pupilów.

* * *

I znowu, po dłuższej, bo kilkudziesięcioletniej przerwie, podczas której udowadniano artystom, iż miejsce ich tylko w „świątyniach ducha" lub wśród parkietów bogatej burżuazji, wyszło bractwo malarsko-rzeźbiarskie do plebsu.

W Nowym Yorku i w Paryżu ustawiają już stragany na ulicach, w Warszawie nie odważyli się jeszcze tak doszczętnie zrezygnować z arystokratyzmu, ale nie wybredzają z wyborem miejsca. Klub, sień bankowa, zakład fotograficzny, lokal kawiarniany — wszystko jedno — byle sprzedać.

Namaluje taki płótnomaz zamek i zdaje mu się, że jest już udzielnym księciem; stół sobie przystroi w malowane homary i ananasy i tak mu jest dobrze, jakby objadł się niemi.

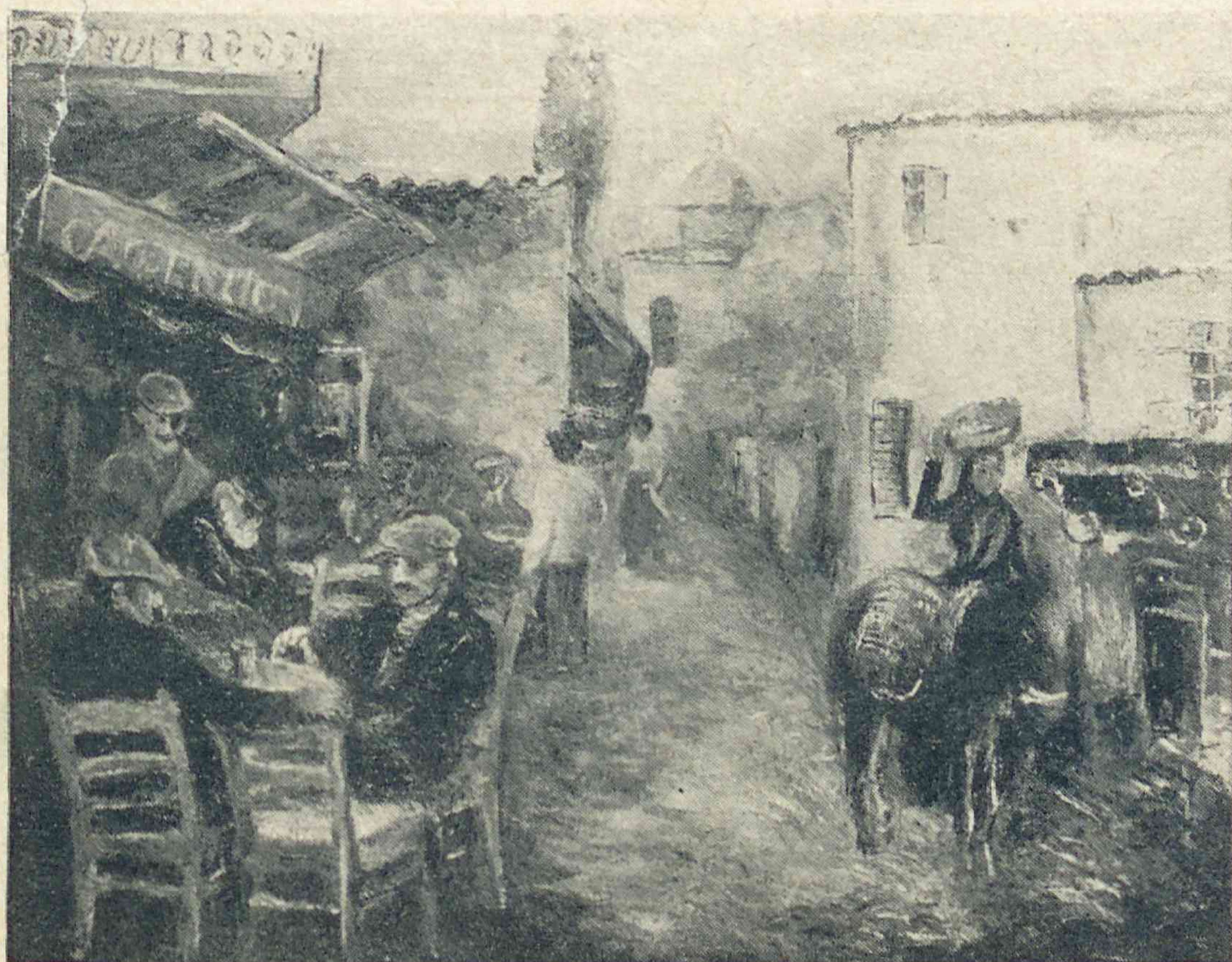
Wszystko co dusza zamarzy — z łatwością zdobędzie — najurodziwsze kobiety i najpiękniejsze zakątki w Nicei, gdy chce — ma wiosnę w grudniu, zimę w lecie, a nawet aleje pomarańczowe w nigdy nieogrzewanej pracowni.

Kto nie wierzy, niech idzie zobaczyć do cukierni Lardellego przy ul. Polnej.

Czego tam nie dostanie za mały grosz? Wilno, Lublin i Kazimierz w autolitografiach Józefa Toma czekają na nabywcę; „Grecję", „Konia z wózkiem" i „Klasztor" kupić można u W. Wąsowicza, K. Winkler ma aż dwa porty i oliwki z Raguzy do sprzedania, Szcz. Rutkowski pozbędzie się „Wiatru nad Wisłą" i melancholijnych „Odłogów"; można doskonale uśmiać się z kabokli i mulatek K. Kryńskiego, zapłakać nad obrazami Skoczylasa i wypocić się w „Upale" Szczyglińskiego.

Spotyka się wszystkich znajomych potrosze. Jest Centnerszwerowa, St. Czajkowski, Czerny, Czyżewski, Pia Górska, małżeństwo Hewelkowie, Janowski Ludomir i M. Krzyżanowska, trudno nie zauważyć p. Mary Litauerówny po powrocie z Sandomierza, Rouen, Płocka, Paryża i Kossowa; zaznaczyły swoją obecność pp. Lunkiewiczowa, Mieszkowska i Nadelmanówna. Zawrze się nową znajomość z L. Pękalskim, Polańskim, Piotrowskim, Polówną, a przedewszystkiem z p. A. Rafałowskim, magnatem na arcypańsko kolorystycznej „Wsi" P. Pokrzywnicka ukaże nam wykwintne „Damy z kwiatami", Siedlecki Franciszek „Śpiewy w ogrodzie" (w oleju) i taką „Ucieczkę" i „Jastrzębią górę", Stankiewiczowa klasyczne akwaforty, Starzewski H. rysunki, Strzemiński piękne krajobrazy i kwiaty, a jeden z ostatnich uczniów St. Lentza — dobrze skonstruowane i soczyste w barwie obrazy. I to wszystko trzeba kupić, z dwóch przyczyn: sobie zrobi się przyjemność, a malarzowi także.

Witold Bunikiewicz.



Wacław Wąsowicz — *Grecka kawiarnia*



Kazimierz Strzemiński — *Motyw z Limanowej*

F. T. MARINETTI

REKIN

Niedawny pobyt pioniera futuryzmu włoskiego w Warszawie i Lwowie wywołał wielkie zainteresowanie naszego społeczeństwa. Z tego względu zamieszczamy poniżej próbkę jego twórczości literackiej.

W nędznej tawernie, którą zachodzące słońce raziło z rozrzutnością złotemi promieniami, domagano się natarczywie opowiadań o przygodach marynarskich od największego milczka.

Przystał na to. Był to kapitan marynarki handlowej, niegdyś sprzedawca węgla i dziennikarz, człowiek pięćdziesięcioletni, pełen męskości, muskularny. Jego okrągła łysa głowa, zaczerwieniona od wina, zdawała się być glinianą skarbonką, z trzema otworami: przymrużonych oczu i zamkniętych ust. Wreszcie otwarły się one:

— Lubię rybołówstwo, jedyną rozrywkę, na którą sobie pozwalam w lecie. Znalazłem się tedy pewnej nocy sierpniowej z przyjacielem — marynarzem o pięć mil od Capri, przed Piccola Marina. Siedzieliśmy tam już od jedenastej, nie złowiwszy nawet sepji. Wiem z doświadczenia, że często powodzenie nawiedza rybaków właśnie wtedy, kiedy zawiedzeni decydują się wracać. Jednak stałem dalej, pochylony na przodzie łodzi, pod latarnią acetylenową, tłumiąc frasunek i sen. Było trzecia. Nagle, wśród kipienia szumiącej wody, ujrzałem błyszczącą, wielką, błękitną źrenicę, obwiedzioną zielono-złocistą tęczówką.

— To rekin!... — wyszeptał mój towarzysz. — Przygotuję natychmiast wielki haczyk na stalowej lince.

Nie dodając ani słowa, nabożnie obwinąłem świecący trzonek sepią i zanurzyłem w morze.

Nic! Długie milczenie, wypełnione mocnemi uderzeniami naszych serc. Potem drżące ręce marynarza podsunęły mi pod nos dwa twarde palce, aby mi uprzytomnić, że trzeba było dać dwie sepie.

Zaledwie haczyk, owinięty lepkim, mackowatym pakiecikiem, wsunął się w lśniące fale, wytworzył się wir pienisty i ukazał ogromny biały brzuch rekina.

— Do djabła! Ma najmniej sześć metrów!... Niebezpieczny! Teraz rozumiem, dlaczego nic nie ułowiliśmy!

Zniknął, nie wziąwszy przynęty. Mieliśmy wrażenie, że szkaradne bydlę ociera się zajadle o spód łodzi, bez złych zamiarów, dla igraszki. Wreszcie schwycił przynętę. Haczyk wbił mu się w górną szczękę.

— Prędko, popuścić linkę! — krzyknąłem.

Ale głos mój zginął w wypryskującej kaskadzie wody. Przemokliśmy. Szalone wstrząsy i kołysania. Linka stalowa skrzypi, powoduje nachylania się łodzi i ciągnie ją.

Fantastyczny sposób holowania! Czuliśmy się jakby w jakiejś motorówce, oszalałej, która pędziła z opuszczonym dziobem, ścinając wierzchołki fal, spragniona, chcąca wypić cały płynny horyzont olbrzymiemi łykami.

Obiegaliśmy morze czarne, nieprzyjazne, szczerzące ku nam zęby, drapieżne, wzdymające się w walce, usilnie zabiegając o to, aby zdobyć zranioną rybę.

O trzydzieści metrów widzieliśmy fosforyzującą, konwulsyjnie drgającą płetwę i ogon, smagający wybryzgujące płaty piany. Naraz zniknęły pod wodą. Bezpośrednio szarpanie linki stalowej rozpoczęło się z głębi. Korzystam z tego, aby opuścić łódź, ale mi się to nie udaje. Oto zjawia się ponownie o czterdzieści metrów posępny zielonawy blask rzucającego się grzbietu. Dnieje. Czwarta. Skały Faraglione Scopolo olbrzymieją, biegną nam naprzeciw w największym pośpiechu, wraz z pierwszem dotykającem je światłem.

— Wyrzeknijmy się go! Przetnij linkę! — krzyczę.

— Ależ, zwarjowałeś! Taki rekin! Wart ponad dwa tysiące!

— Skoro tak, to dajmy się zgruchotać za dwa tysiące lirów!

Z filozoficznym spokojem przypomniałem sobie, że w ataku pod Zuara każdy walczący Arab bił się dzielnie za jednego jedynie lira!

Tymczasem sporo łodzi napłynęło, aby nam pomóc, otoczyło nas, i w zielono-pomarańczowej jutrzence, gdzieniegdzie różowej, ich długie wiosła splatały się z sobą w czarnej głębinie, kręciły się dokoła i, pogrążając się w wodzie, łupały ją w miejscach, gdzie potwór rzucał się gwałtownie.

Jedno z jego uderzeń ogonem obryzgało którąś z łodzi. Sądziliśmy, że ją przewróciło. Miała strzaskane wiosła. Rekin gniewliwie zwrócił się przeciwko nam. Wiązania łodzi skrzypiały i jęczały ponuro pod uderzeniami pionowemi mordy długiej i twardej.

Ale konał już, pokonany, w postrzępionej pianie na tem tragicznem polu walki, pod smagającemi, okrutnemi wiosłami.

Wijąc się, rozwarł okrągłą paszczę, całą wybitą wspaniałą emalją. Pół metra średnicy. Sześć rzędów górnych i sześć rzędów dolnych trójkątnych zębów, które zwinnie opadają i wznoszą się dla biurokratycznie doskonałego żucia. Wygiął grzbiet. Ogon strzelał uderzeniami we wszystkich kierunkach. Długie djabelskie świsty wydobywały się z dziesięciu szczelin oddechowych. Wyszczerzenie zębów. Plwociny rubinowe i wydzieliny kaszlu z otworów wydmuchowych padały w poszarpany karmin warg morza.

Nagle rekin musnął dziób naszej łodzi grzbietem brunatno-popielatym, pełnym twardych narośli. Potem pojawił się brzuch śnieżysty, nakrapiany skrwawionemi powyszarpywanemi placami. Wówczas, piorunująco, towarzysz mój wychylił się i błyskawicznym zygzakiem prawej ręki wbił nóż w tułów ryby.

Brzuch rozdarł się niby jedwab, z wytryskiem krwi i (o dziwo!) ukazał wnętrzności, pełne wody — bez ryb.

Któż zatem pustoszył morze?

Jednak trudy nasze opłaciły się, gdyż sprzedaliśmy zdobycz za dwa tysiące lirów rybakom neapolitańskim, którzy go zużytkowali, podobnie, jak ostropysk!

Kapitan umilknął. W napół ciemnej tawernie dwie zniekształcone brodawkami i rudemi włosami pokryte ręce zapaliły lampę naftową, wydzielającą więcej kopciu, niż światła. Jakiś głos kobiecy przemówił:

— Śmierć bohaterska i budząca zgrozę! Jacyż byliście niewspaniałomyślni i niewytworni! Było to dla mnie przykre i wzbudziło litość!

— Niech pani nie płacze — odparł kapitan. — Rekin nazywa się Strozzinsky [1]). Wysuszał oszczędności mieszczaństwa w Wiedniu. Niweczył przemysł i handel. Ogładzał ludek. Rzecz dziwna, znajdują jego skrytki zupełnie puste. Szczególnym trafem o najbardziej nieproporcjonalną jego czaszkę sprzeczało się sześć muzeów zoologicznych, ofiarując za nią wysokie ceny. W ten sposób można było wynagrodzić szkody niektórym pokrzywdzonym. Natomiast jego, zdrajcę, który zarobił na krwawych szczątkach wojny, wiele uczciwych ust okrzyknęło chwalebnie wojowniczym ostropyskiem! To jego ostatnie szalbierstwo!... Strozzinsky zmarł tajemniczo. Mówiono, że się zabił. W rzeczywistości zdradzono go, wyłowiono i sprzedano, jak każdego rekina. Wątroba rekina dała baryłkę oliwy, sprzedanej do aptek popryszczonym pięknościom. Zęby jego osiągnęły najwyższe ceny, jako niezawodne amulety przeciwko bólowi zębów i strachowi. Oto jeden z tych zębów. Zawsze go noszę!

Wszystkim wydawał się bardzo mały ten ząb, przyczepiony do łańcuszka zegarka!...

Niewiele osób widać było w tawernie. Niektórzy chcieli pytać, sprawdzać, dotykać. Nikt nie śmiał jednakże, tak srogim był wyraz twarzy kapitana, który śmiał się, nie otwierając ust, jak prawdziwa gliniana skarbonka.

Autoryzowany przekład
Stelli Olgierd.

---

[1]) Alegorja futurystyczna. Autor przerzuca odrazu myśl na rekina — człowieka, przedstawiając go w postaci zaborczego spekulanta (przyp. tłum.).

Wojna na Dalekim Wschodzie

Zwycięska ofenzywa japońska, po opanowaniu prowincji Dżehol, rozwija się w dwóch kierunkach: ku drugiej prowincji Mongolji Wewnętrznej — Czahar i pod Wielkim Murem, zagrażając Tien-Tsinowi i Pekinowi.

Wojska japońskie muszą przezwyciężać wielkie trudności w kraju górzystym i pozbawionym dróg. Posuwają się one wąskiemi szlakami, wydeptanemi po przez śnieżne obszary.

Walka między żółtymi odsłania swoiste obyczaje, odmienne od zwyczajów wojennych narodów białych. Żołnierze japońscy zmuszają jeńców do klęczenia z podniesionemi rękami, aby nietylko uniemożliwić im opór fizyczny i ucieczkę, lecz i pognębić moralnie. Nieraz też jeńców zabija się na miejscu.



ŚWIAT KSIĄŻKI

PAMIĘTNIKARSTWO

Po wojnie rozwinął się u nas gust czytelniczy do pamiętnikarstwa. Wyznać należy, iż w tym czasie ukazały się cenne utwory tego rodzaju. Pamiętnik dr. Morawskiego, lekarza i ziemianina z Wileńszczyzny, wywołał nawet sensację świetnemi obserwacjami obyczajów z przed stulecia. Ale i pamiętniki nowsze nie dały się zakasować. Wystarczy przypomnieć treściwe, pełne historycznych faktów i refleksyj wspomnienia Korwin-Milewskiego, pamiętniki Edwarda Woyniłłowicza, prof. J. Talko-Hryncewicza, Ign. Daszyńskiego, Wł. Studnickiego, Władysława Grabskiego, Stan. Karpińskiego i t. d.

W tym czasie opublikowano też wiele wspomnień z wojny. Zwłaszcza legionowy odcinek poszczycić się może kilku ciekawemi publikacjami. Na czoło ich wysuwa się obecnie pamiętnik gen. Sławoj-Składkowskiego p. t. „Moja służba w Brygadzie" (2 tomy).

Autor tego pamiętnika jest postacią ogólnie znaną. Były minister spraw wewnętrznych, obecny wiceminister spraw wojskowych, jako lekarz brał udział we wszystkich duchowych i wojennych walkach Pierwszej brygady. W książce jego nie znajdujemy jednak... żadnego posłannictwa, czy namaszczenia. Przygody swoje opowiada z temperamentem i humorem, umiejąc nawet w momentach dramatycznych utrzymać pogodę ducha. Pamiętnik jego z tej racji należy uważać za najbardziej miarodajny wykładnik psychologji legjonowej, niezawsze rozumianej przez cywilów, a tembardziej przez wojskowych - zawodowców.

Koleżeństwo legjonistów, ich ideowość, ich „realizm wojenny" w słowach gen. Składkowskiego znajdują pełny wyraz. Bawią się te „dłubinoski" prosto, szczerze i umierają równie prosto, bez jęku. Zapiski te kreślił lekarz bataljonowy a później pułkowy w warunkach niemal egzotycznych: oczekując na transport rannych, koczując wraz ze swoim oddziałem, wypoczywając na kwaterze w nędznej, chłopskiej chatynce.

Interesujące się uwagi autora o „warszawskich posiłkach", które nadeszły po zajęciu stolicy przez Niemców w r. 1915. Był to materjał ideowy o dużej wartości, lecz chłopcy ci nie umieli sobie radzić z rzeczywistością wojenną. Dopiero po zaznaniu głodu, chłodu i wszów zrozumieli, że wojaczka to specjalna sztuka bytowania! Gen. Składkowski przy sposobności żartuje sobie z tych „ideowców", chcących koniecznie umrzeć za Polskę, gdy tymczasem każą im żyć i zwyciężać.

Pamiętnik obfituje w świetne, niemal nowelistyczne epizody! Autor utrwalił wiele wojennych scen rodzajowych, mówiących o innym typie bohaterstwa, niż to, które znamy z piosenki, czy legendy Napoleońskiej. Wojowanie



Gen. Sławoj-Składkowski

w czasach obecnych wymaga odmiennych cnót i nastawień duchowych! Pamiętnik gen. Składkowskiego zanotował na wieczną rzeczy pamiątkę przyjaźń dla wiernego forysia Antoniego Dudonia, dzielnego żołnierza i opiekuna lekarza legjonowego. Osobna wzmianka należy się koniom: Siwutkowi, Krukowi, Sońce.

„Moja służba w Brygadzie" skrzętnie przechowała też nastroje polityczne ludności. Notaty te dają prawdziwy obraz „orjentacyjnej dezorjentacji", w jakiej znajdowało się nasze społeczeństwo.

Pamiętnik gen. Sławoj - Składkowskiego, wierny historycznie i psychologicznie, stanie się w przyszłości źródłem informacyjnem dla publicystów, beletrystów, historyków.



Wyjątki z pamiętnika gen. Sławoj-Składkowskiego

Dzisiaj koło południa (4 lip. 1915 r.) rozpocząłem zwykły swój koncert: śpiew piosenek ludowych z towarzyszeniem gitary. Radość była ogólna, aż... zmącił ją płacz dziewczyny. Gdy, mianowicie, śpiewałem:

„Tę chusteczkę, coś mi dała,
Za onuckę bede mioł,
Za onucke bede mioł
Żebyś sobie Maryś nie myślała
Żem jo ciebie w sercu mioł, w sercu [mioł".

Nagle ku uciesze otoczenia osiemnastoletnia Maryś, córka gospodarza domu, zaczęła głośno płakać, wołając przez łzy do Julka, ordynansa:

— Niech pan odda mojom chusteckę. To wy tak z chusteckami robicie!

Julek, zmieszany, wyjmował z pod munduru czerwoną chusteczkę, którą wyłudził od Marysi na pamiątkę. W międzyczasie tłomaczył:

— Panno Marysiu, to obywatel doktór ino taką austryjacką piosnecko śpiwo. My legjoniści, Polacy i katolicy, tak nie robimy.

Ale nic nie pomogło, Marysia już brała swoją chusteczkę, powtarzając:

— Tero już wim, jak wy to robicie.

*

Za krzakiem bzu widzę jedną ze scen pożegnalnych. Biorą w niej udział: dziewczyna, żołnierz i karabin.

Najsmutniejszy jest karabin, który leży i moknie na gałązkach bzu. Obok stoi strzelec w płaszczu narzuconym na plecach. Z pod płaszcza wyglądają dwie głowy: jedna o bladej twarzy — to głowa strzelca, druga o buziaku okrągłym i rumianym — to główka panny Basi. Kontrast kolorów twarzy występuje tem jaskrawiej, że dwie głowy przylepione są do siebie w ostatnich, pożegnalnych pocałunkach.

Wreszcie już słychać okrutne: „Zbiórka". Padają bezsilne wyrazy:

Legjonista: No niech mię panna Basia choć na ostatek pocałuje.

Panna Basia: Ee, nacałował się pan już aż zanadto przez te wszystkie wieczory!

Legjonista: Ale panna Basia sama nie pocałowała mię ani razu.

Panna Basia: I nie pocałuję. Ja pocałuję pierwszy raz mojego narzeczonego, na śmierć i życie, który potem będzie moim mężem.

*

Wojna nauczyła nas cierpliwości. Nikt nie rwie się naprzód, jak to było na początku, gdy każdy bał się, że bez niego wojnę skończą.

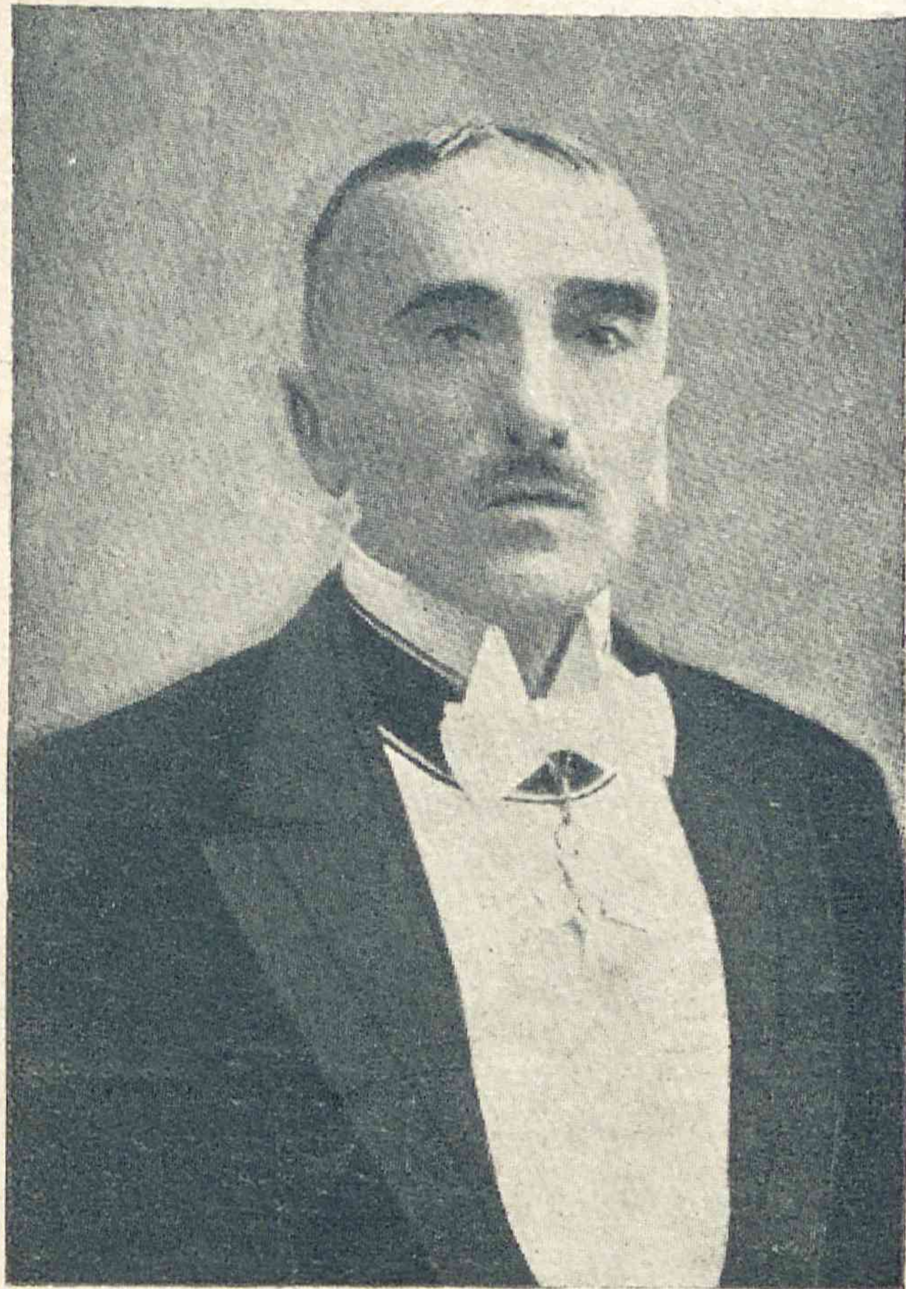
Mówią: „stać", no to zaraz włazi się do rowu i człowiek wypoczywa na zakurzonej murawie.

*

— A co, doktorze, jedliście wczoraj pieczoną wieprzowinę?

— Jadłem, abo co?

— Abo co?... abo to, że przypomnijcie sobie, jakeśmy pod laskami łapali bezdomne i opuszczone gąski i smażyli na kolacje, toście poszli spać głodni i nie chcieliście jeść, boście nie wiedzieli, czy gęś zapłacona. Djabła tam była zapłacona! A dziś jecie wieprzowinę i nie pytacie, czyj był wieprz. A wszystko przez to, że jak człowiek wyszedł na wojnę, to myślał, że musi obowiązkowo zginąć w pierwszej bitwie, że musi iść na ofiarę za Polskę, że bez jego śmierci Polski nie będzie!



Inż. Zyg. Jasiński



Leop. J. bar. Kronenberg

PAMIĘTNIKI Dr. Aksela Munthe, Leop. J. bar. Kronenberga, Inż. Zyg. Jasińskiego

Pamiętnik wybitnego lekarza dr. Aksela Munthe p. t. „Księga z San-Michele" w roku ubiegłym stał się europejską sensacją czytelniczą. Przełożono go na kilka języków. Dr. Munthe był szwedem, doktoryzował się w Paryżu, przez wiele lat praktykował nad Sekwaną, zdobył sobie pacjentów wśród międzynarodowych sfer artystycznych, literackich, dyplomatycznych i arystokratycznych. Jako uczeń prof. Charcot'a, znakomitego psychjatry, cieszył się ogólnem uznaniem, choć z biegiem lat oddalił się od metod i zapatrywań swego nauczyciela. Zabawne są uwagi lekarza o modnej wtedy chorobie p. t. „colitis". Ulegało jej wiele dam z wyższego towarzystwa. Dr. Munthe potrafił świetnie leczyć to „niedomaganie". Z Paryża przeniósł się dr. Munthe do Rzymu i w „wiecznem mieście" stał się również wziętym lekarzem. Wśród jego pacjentów znajdowały się i ukoronowane osoby. Nie to jest jednak atrakcją jego pamiętników.

Dr. Munthe oczarowuje czytelnika ludzkim, dobrym stosunkiem do rzeczywistości. Jest on miłośnikiem zwierząt. Psy mają w nim oddanego przyjaciela. Broni ptaków od sideł przemyślnego rzeźnika, sporządzającego „wyborny pasztet z udek i piersi skowrończych". Pamiętnik jego nosi tytuł „Księga z San-Michele". Będąc jako student na Capri, umiłował sobie to zbocze górskie z kaplicą i postanowił tu zamieszkać. Wykupił kawałek nędznego gruntu z winniczką, zbudował sobie dom i tu spędził wiele chwil błogich na obcowaniu z ciszą, błękitem nieba i dalą morza. Otoczony ludźmi prostymi, zasłuchany w tajemnicę własnego serca, upodobnił się do wielkiego czarodzieja chrześcijanizmu, św. Franciszka z Assyżu.

Swoje lekarskie doświadczenia, okupione latami obserwacji, przeplata zajmującemi zdarzeniami z bujnego, bogatego życia. Książka jego jest niezwykle zajmująca. Poznajemy dzięki niej całą galerję osób o historycznych nazwiskach i... zwierząt wprawdzie bez nazwisk, lecz zato z bardzo plastycznym konterfektem.

*

Baron Leopold J. Kronenberg, popularna osobistość wśród sfer artystycznych i towarzyskich naszej stolicy, opublikował swoje „Wspomnienia", sięgające czasów przed powstaniem styczniowem. Liczne fotografje wybitnych działaczy finansowych, społecznych, artystycznych podnoszą wartość tej książki-dokumentu. Znajdujemy w niej ciekawe informacje, dotyczące nietylko znakomitego ojca autora tych „Wspomnień".

*

Były minister kolei, inż Zygmunt Jasiński, jako wybitny fachowiec, przyczynił się do zorganizowania i usprawnienia naszego kolejnictwa. Jeszcze przed wojną, inż. Zyg. Jasiński zajmował wysokie stanowisko technicznego dyrektora austrjackich kolei we Lwowie. Wspomnienia jego wojenne są szczególnie ciekawe, gdyż jako wysokiej rangi urzędnik miał do czynienia z dowództwami różnych armji austrjackich i niemieckich. Inż. Jasiński wskazuje na zakusy germanizacyjne austrjackie. Praca jego dla Polski obfitowała również w interesujące szczegóły, nieraz o historycznem znaczeniu.

Wspomnienia inż. Jasińskiego, jako lektura o poważnej treści, zasługują ze wszechmiar na polecenie.

E. C.

Trzydziestolecie „Pamiętnika literackiego"

Ceniony przez szerokie koła miłośników piśmiennictwa „Pamiętnik Literacki" święci trzydziestolecie swego powstania. Niebywała to uroczystość! Pisma literackie nie wykazują u nas takiej żywotności. Zazwyczaj kończą swoje istnienie po kilku zeszytach lub latach. „Pamiętnik Literacki" niewątpliwie zawdzięcza swoją długą egzystencję prof. dr. Bronisławowi Gubrynowiczowi, znanemu historykowi i krytykowi, który potrafił rozwinąć w tym kwartalniku dużo inicjatywy naukowej, nie szczędząc mu również zabiegów i ofiarności. Mimo kryzysu, jubileuszowy zeszyt przynosi poważną wiązankę prac takich znakomitości, jak prof. Aleksander Brückner (Księga miłości Kochanowskiego), prof. Stan. Dobrzycki (Sytuacja Polski i warunki rozwoju literatury polskiej w epoce porozbiorowej), prof. Ign. Chrzanowski (świetny portret literacki Al. Felińskiego) oraz prof. St. Windakiewicz (Próby i pomysły dramatyczne Mickiewicza). Pozatem znajdujemy szereg recenzji, notatek i t. p.

Akademja ku czci twórcy „Kaizera"

(L.). Związek Beletrystów Polskich uczcił pamięć zasłużonego powieściopisarza i nowelisty śp. Macieja Wierzbińskiego, urządzając akademję w dn. 2 b. m. w sali „Tow. Liter. i Dziennikarzy". Przemawiali pp. M. Smolarski, mec. Józef Śliwowski, red. Ber. Szarlitt, charakteryzując i analizując bogaty dorobek literacki niedawno zmarłego laureata nagrody im. Orzeszkowej. Wyjątki z pism recytowali koledzy i koleżanki.

Ś. p. Maciej Wierzbiński szczególnie zasłużył się w walce z germanizmem. Był kilkarotnie więziony przez władze pruskie. Działalnością swoją przyczynił się do podtrzymania ducha oporu przeciw gwałtom zaborców. Akademja ku jego czci zgromadziła licznych przyjaciół, kolegów i czytelników. Wzruszająco wypadła recytacja „walki Malmgreena z żywiołem bieguna".

„Pamiętniki Louis Barthou"

Wybitny mąż stanu, wielokrotny minister, świetny publicysta Louis Barthou opublikował obecnie swoje pamiętniki p. t. „Spacery naokoło mego życia" (Promenades autour de ma vie). Wspomnienia te omawiane są szeroko przez prasę francuską, gdyż zawierają wiele ciekawych i nowych faktów z za kulis życia politycznego. Prasa paryska podnosi wysoko sztukę pisarską b. ministra Barthou, członka Akademji francuskiej.

Poezja i proza

Żona literata wchodzi do pokoju męża, siedzącego przy biurku.

— Co robisz?

— Myślę.

— Nie myśl, kochanie, tylko pisz, bo mi jest potrzebny nowy kapelusz...

Z WIZYTĄ U KOBIET

W poprzednim Nr. „Świata" przedstawiliśmy wizerunek duchowy „Krakowianki z lotu ptaka". Dzisiaj poświęcamy kolejny artykuł mieszkance polskiego Manchesteru.

ŁODZIANKA PRZY PRACY

Miasto — to potrosze my sami. Są stolice wielkich karjer, miasteczka czyjegoś dzieciństwa i głodujące miasta bezrobotnych. Są miasta — statyści i miasta — gwiazdory, wyniesione ręką życia na ekran współczesności, jako uosobienie dnia dzisiejszego.

Łódź wplótł los oddawna do swych tragicznych scenarjuszy. Zapoznaną jest wszakże dotąd w opinji publicznej. Łódź nie jest efektowna. Nie nadaje się do ról bohaterskich, ani salonowych i marny z niej „wamp". Jest poprostu miastem pracy zarobkowej, miastem fabrykanta, kupca i robotnika. W Łodzi robiło się majątek, ograniczając własne potrzeby kulturalne do ciasnych ram osobistego komfortu i upiększając sobie życie poza granicami tego „złego miasta". Nie dochowało się też ono — kolebka tylu fortun — własnych patrycjuszów i mecenasów. Po rodach fabrykantów zostały wspaniałe gmachy fabryczne i nieskończone szpalery bielonych parkanów. Nie miało również aspiracji ojców miasta — łódzkie kupiectwo, stawiając nad cuchnącemi ściekami nieskanalizowanych ulic ohydne kamienice, karawanseraje ładownych wozów frachtowych.

To też życie duchowe Łodzi, to nie kwiat, wyhodowany w inspektach kultury intelektu, lecz dziki chwast, puszczający się samopas po jej kwaśnych podwórkach i koszlawych brukach.

Polski inteligent i robotnik, szukając zaspokojenia potrzeb duchowych, dali Łodzi nadetatowym wysiłkiem „pofajrantowych" godzin pierwociny życia kulturalnego i społecznego. Stąd życie duchowe miasta nosi po dziś dzień charakter wybitnie demokratyczny. Pozatem zadawniona w Łodzi równoległość pracy zarobkowej mężczyzny i kobiety, przeniesiona na grunt społeczny, wytworzyła w Łodziankach, na długo przed wojną europejską, nowoczesną psyche samodzielnej i odpowiedzialnej kobiety - pracownika. Obok uświadomionej robotnicy, wyrabia się typ pracującej zawodowo inteligentki-społeczniczki.

Inicjatywa Łodzianki w czasach niewoli szła w dwu kierunkach: polityczno - konspiracyjnym oraz oświatowo - charytatywnym. Niepodległość, a z nią szeroka rozbudowa samorządów i instytucji społecznych wraz z powojenną standaryzacją równouprawnienia kobiet — utworzyły przed Łodzianką niezmierzone możliwości współpracy obywatelskiej. Korzysta też z nich w całej pełni, wnosząc wszędzie pracę zasadniczą i przodującą nieraz krajowi inicjatywę.

Łódź posiada swe autonomiczne oddziały organizacji, które obejmują całą Polskę. A więc: zrzeszenia ideowo-polityczne, utworzone przy stronnictwach, a także samodzielne organizacje polityczne, jak: Narodowa Organizacja Kobiet, która zdobyła w 1922 r. mandat poselski dla p. Wandy Ładziny i w 1923 r. dwa miejsca w łódzkiej Radzie Miejskiej, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet z panią Wandą Kosińską-Lorentzową na czele, który rozwija bardzo ożywioną działalność, dalej organizacje apolityczne: Łódzkie Koło Pań pod przewodnictwem pani K. Skalskiej, prowadzące filantropijno-społeczną działalność, związaną z Instytutem zwalczania raka, Związek Pań Domu, Rodzina Wojskowa, Rodzina Policyjna pod przewodnictwem Pań: Torwińskiej i Elsesserowej, Polski Czerwony Krzyż z panią Ulrichsową i t. d. Piękną kartę posiadają też Koło Polek i Katolicki Związek Polek.

Ze względu na różnorodność wyznaniową wydzieliły się: Stowarzyszenie Polek - Ewangeliczek, zorganizowane na wzór związków cieszyńskich, „Frauenverein" Niemek-ewangeliczek, Misja dworcowa ewangelicko-augsburska, Żydowskie Towarzystwo Ochrony Kobiet. Wszystkie te organizacje rozwijają owocną działalność, każda na swym terenie.

Specjalnie charakterystyczne dla Łodzi są instytucje, opiekujące się dzieckiem. A więc powstałe jeszcze w 1904 r. Tow. Opieki nad Matką i Dzieckiem, Kropla mleka, prowadzona od wielu lat przez sprawny Zarząd na czele z panią Marzyńską, która uruchamia żłobki fabryczne i więzienne, Robotnicze Tow. Przyjaciół Dzieci, założone przez senatorkę dr. Kłuszyńską.

Rozwinięto również opiekę nad dzieckiem przestępczem w świetnie zorganizowanym Patronacie nad nieletnimi, którego kuratorką jest pani M. Filipkowska. Patronat posiada mało znany typ Izby Zatrzymań. Jestto schronisko dzienne dla dzieci pod nadzorem sądowym, które prowadzi dla młodocianych przestępców prace świetlicowe. W wyjątkowych wypadkach nienagannie spędzony czas w „Izbie" bywa zaliczany, jako odbycie kary. Jest to instytucja o charakterze wysoce humanitarnym, oddająca wielkie usługi pedagogiczne. Należy podkreślić prace kobiet w Patronacie nad więźniami oraz w Patronacie nad młodzieżą rzemieślniczą i przemysłową, w którym pani M. Więckowska prowadzi poradnię zawodową, czyli badanie indywidualne nad zdolnościami fachowemi młodocianych robotników.

Ten z konieczności krótki zarys życia społecznego Łodzianki niech świadczy o dwu rzeczach: że Łodzianka, wiedziona instynktem prawdziwej kobiety, zajęła wszystkie placówki społeczne, gdzie obecność kobiety jest niezbędna, oraz że życie Łodzianki nie nadaje się do efektownego reportażu. Posiada bowiem zadużo treści...

Zofja Erdmanowa.

Prosimy o opłacenie prenumeraty za m. kwiecień i kwartał II (P.K.O. Nr. 3755). Prenumeratorom, którzy zalegają z prenumeratą, wstrzymana będzie wysyłka „Świata" i dodatku książkowego

„TEN, KTÓREGO BIJĄ PO TWARZY" — W TEATRZE NARODOWYM



Wesołe zakulisie życia cyrkowego w sztuce Andrejewa

Fot. Jan Malarski

Przed mniej więcej dziesięciu laty ten sam andrejewowski „*Ten*", przyjęty nader pochlebnie przez krytykę, grany był *en suite* zgórą 70 razy. Poprostu było to jedno z największych powodzeń na terenie polskiego teatru za ostatnich lat dziesięć i parę miesięcy!

Minęło od tego czasu niewiele co ponad te lat dziesięć i parę miesięcy, i część tej samej krytyki, ujrzawszy utwór Andrejewa w teatrze, o kilka ulic na zachód położonym, zawyrokowała, że „*Ten*" nie zasługuje już na powodzenie.

Cóż się stało takiego? Oto poprostu: zmienił się klimat widowni premjerowej. Opuścił sztukę *genius loci* nastawienia zbiorowego. Zmienił się „kąt widzenia...". „kąt patrzenia" na dramat Andrejewa...

Ale nic to — znakomita, bijąca teatralność autora została nienaruszona! Jest ona dziś tak samo bajecznie kolorowa, tak samo przekonywująca, jak przed laty dziesięciu. I tak samo, jak wtedy, bierze widownie w posiadanie bez reszty. Tak samo pełna jest tego odręgnego „koloru lokalnego" psychiki czysto i typowo rosyjskiej, enigmatycznej nierzadko, niekiedy odpychającej, ale zawsze fascynującej, jak fascynującem jest każde działanie prawdziwego egzotyzmu.

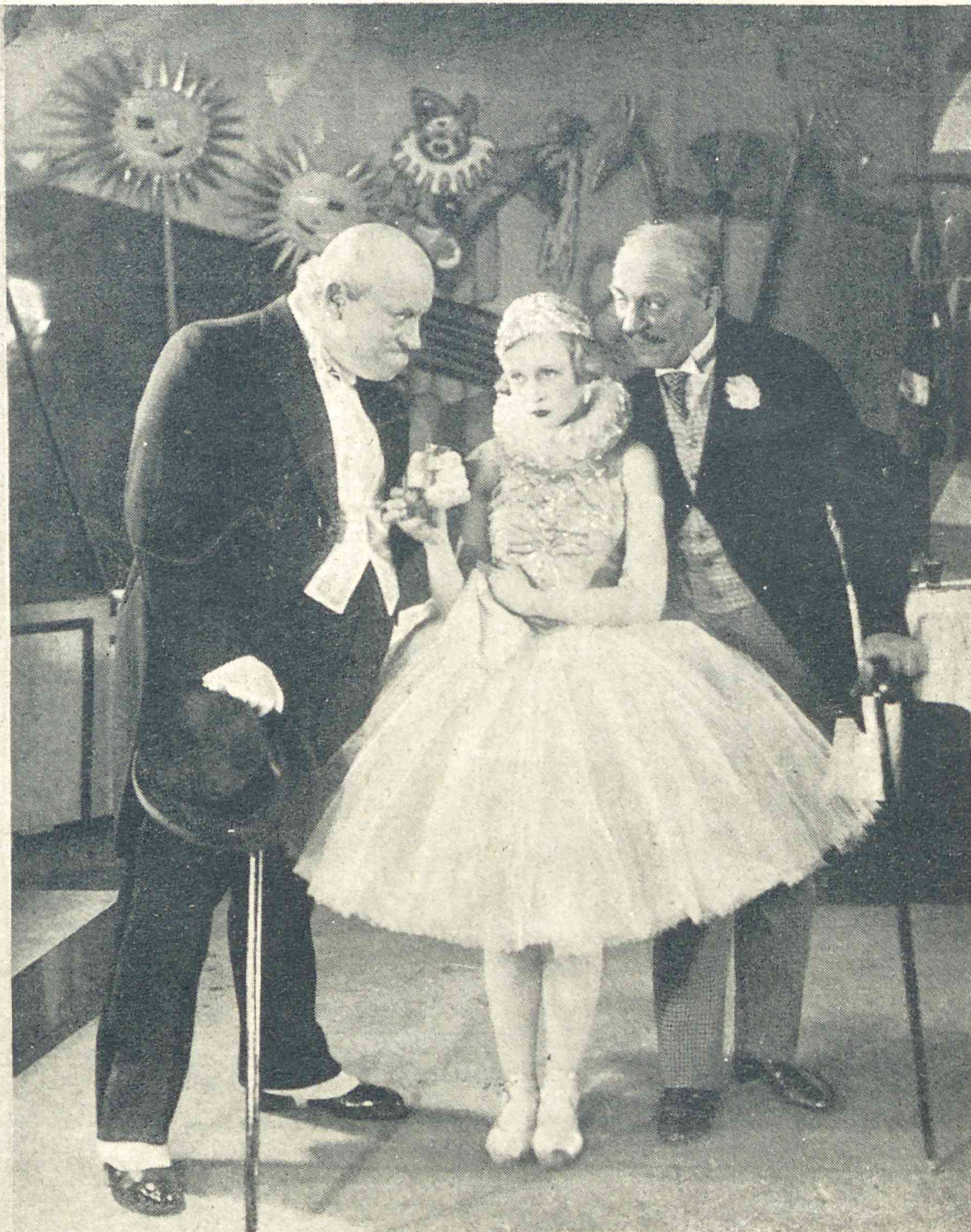
Natomiast przybył sztuce Andrejewa po latach dziesięciu nowy i nader ważki argument: odrębne ujęcie inscenizacyjne przy całkowicie odmiennem „rozbudowaniu przestrzeni scenicznej": W oprawie malarskiej Karola Frycza rzekomo francuski cyrk działań ludzi andrejewowskich otrzymał jakby ironicznie wytworzoną jarmarczność „rozkraśnionej" chusty typowo rosyjskiej; pozornie typowemu i prostolinijnemu naturalizmowi ujęć i tekstów pisarza rosyjskiego przydał reżyser Borowski tonów intrygującej niesamowitości...

Na tem odnowionem tle w nowych, silniejszych jeszcze blaskach świetności ukazały się znane z poprzedniej reprezentacji dwie prawdziwie wielkie kreacje aktorskie: Wojciecha Brydzińskiego tragicznie wesoły *Ten* i Junoszy-Stępowskiego komicznie smutny „Hrabia". — Sensacja obsadowa wieczoru — panna Jadzia Andrzejewska była sobą w najczarowniejszem tego słowa znaczeniu: dzieckiem prawie, dziewczęciem — tym razem cyrkowem — chwytającem za serce *Tena*, tamtego i wszystkich na widowni.., Marja Gorczyńska pokazała nie tylko prawdziwego lewka na szyi, ale i prawdziwy lwi pazur dramatycznego talentu. „Baron" Samborskiego jakby zeszedł z chaneyowskiego ekranu. Zbyszko Sawan po zwycięskich woltyżach filmowych ujeżdża z kolei scenę i czyni to z powodzeniem.

W interpretacji Teatru Narodowego *Ten, którego biją po twarzy...* krytycy spodziewać się może satysfakcji oklasków od wzruszonej widowni.



Marja Gorczyńska, nieustraszona pogromczyni lwów, z pieskiem



Dziewczę „w mundurku cyrkówki" (Jadwiga Andrzejewska) w otoczeniu dwóch „starców": Samborskiego i Junoszy-Stępowskiego

Fot. Jan Malarski



Hrabia-papcio (Junosza) z uroczą córeczką — Consuellą (Andrzejewska)



Tragiczna maska „Tena" — Brydzińskiego

Teatr Letni
„Ach ta gotówka"
Nowa komedja wiedeńska Ebermayera i Cammelrohr'a

Powiedzmy odrazu: dawno nie było premjery tak udanej, jak ta „Ach ta gotówka", wystawiona świeżo w znakomitej reżyserji dyr. Chaberskiego na drugiej scenie miejskiej. I dawno nie było sztuki tak do żywego aktualnej, tak kapitalnie pomysłowej, zręcznie napisanej, i — mimo niewątpliwe balansowanie na linie „rycerstwa przemysłu.. pieniężnego" — taktownej i, w gruncie rzeczy, uczciwej. A w dodatku ta miła, pozornie beztroska, komedyjka wiedeńskich autorów może służyć jako doskonały — w wesołem uproszczeniu teatru — wykład o przyczynach dzisiejszego kryzysu pieniężnego i sposobach nań zaradzenia... Recepta jest bardzo prosta: wystarczy umieć wyciągnąć pieniądze od tych, co je posiadają, i puścić je w obieg. Trzeba pójść do Teatru Letniego, aby zobaczyć, jak się ta „szkatułka łatwo otwiera"...

Oczywiście i *ach, ta gotówka* nie stałaby się żywą gotówką, gdyby na dnie jej cudownego wytrysku nie lśniła bodaj maleńka złota żyłka... miłości. Autorzy wiedeńscy z niemałym wdziękiem pisarskim umieli wpleść prostą melodyjkę uczucia do hałaśliwego jazzu dolarowego, dzięki czemu stworzyli całość przyjemnie artystyczną, pełną w równych kwantach — pomysłowości, satyry, dowcipu i sentymentu.

Artyści, oparci o mocne pokrycie zainteresowania widowni (70,000 dol. — jest

Fot. Jan Malarski



Lubieńska i Wesołowski znaleźli 70,000 „żywej" gotówki!...



Orwid, Kurnakowicz i Wesołowski budują wielką pływalnię!



Bankierówna i monter (Lubieńska i Wesołowski) przed odkryciem gotówki...



Moment kulminacyjny: wystawianie czeków dolarowych! Przewodniczy gruby „Majer" (Janusz)... z „pięknym" Hnydzińskim.

od czego dostać wypieków!) z rozmachem urodzonych miljarderów humoru (Orwid! Kurnakowicz! Hnydziński!) rzucali w publiczność czeki na śmiech i zabawę, płatne na miejscu. Oddzielne premja czaru kobiecego i werwy męskiej dodawali: Karolina Lubieńska i Tadeusz Wesołowski.

Zachwycona publiczność kwitowała entuzjazmem oklasków.

Gotówka napewno przyniesie gotówkę Teatrowi Letniemu.

Nowe sztuki Wroczyńskiego i Kiedrzyńskiego

Kazimierz Wroczyński napisał 3-aktową komedję aktualną p. t. *„Kobiety i interesy"*. Będzie ona najbliższą po Andrejewie premjerą Teatru Narodowego — w reżyserji Ludwika Solskiego.

Stefana Kiedrzyńskiego nowa 3-aktowa komedja p. t. *„Ten stary warjat"* w reżyserji Emila Chaberskiego, ukaże się jako jedna z najbliższych premjer Teatru Letniego.

Nowe prapremjery polskie

Zapowiedziano ich pięć. W Krakowie dwie: Antoniego Godziemby-Wysockiego nagrodzony na konkursie Z. A. S. P.'u dramat *„Kwiaty na stepie"* oraz prof. Józefa Wiśniowskiego komedja współczesna: *„Dziesięcioro..."*.

W Wilnie: nowa komedja komedjopisarza wileńskiego p. Tadeuscza Łopalewskiego *„Czerwona limuzyna"*.

W Łodzi — miejscowego dziennikarza-feljetonisty Stanisława Bala (Kempnera) sztuka satyryczna p. t. *„Zielona kotwica"*. Ta prapremjera będzie jednocześnie debjutem komedjopisarskim.

W Warszawie, w Teatrze Nowym, dramat 3-aktowy znanego poety i nowelisty Juljusza Wirskiego *„Kwadrans o świcie"*. Również debiut dramatopisarski.

Bruno Winawer laureatem nagrody im. L. Reynel'a

Tegoroczną, a drugą od założenia fundacji, nagrodę im. Leona Reynel'a za najlepszy utwór dramatyczny, wystawiony w Warszawie, za czas od 1 kwietnia 1932 do 31 marca 1933 r. — jury złożone z członków Zarządu Związku Autorów Dramatycznych oraz delegatów krytyki stołecznej i kierowników teatrów, przyznało Brunonowi Winawerowi za komedję 3-aktową *„Smaczny chleb kłamstwa"*, graną niedawno na scenie Teatru Letniego. Nagroda wynosi zł. 1,000.

Zeszłoroczną — pierwszą od założenia — nagrodę otrzymał, jak wiadomo, Stefan Kiedrzyński za *„Szczęście od jutra"*.

Nowy teatr w Warszawie

Sprawa nie jest tak groźna. To tylko: nowa nazwa teatru.

Dotychczas była to „Filja Teatru im. Stefana Żeromskiego" z Żoliborza. Teraz twórcę „Przepióreczki" i „Sułkowskiego" wypiera autorka „Moralności pani Dulskiej". Będzie to: „Teatr im. Gabryeli Zapolskiej".

Lokal ten sam: podziemia ex — Teatru Artystów, obecnie Alhambry.

Afisz inauguracji: „Carewicz" Zapolskiej z Karolem Bendą i panną Niną Wilińską. Tą samą, która przed laty siedmiu, jako jeszcze „wunderkind" Ninka, grała u Gorczyńskiego w Łodzi Tyltyla w „Niebieskim Ptaku" Maeterlincka. Myttylem była wówczas obecna Consuella z „Tena" w Teatrze Narodowym: panna Jadzia Andrzejewska...

Humor teatralny

BRAWO, ARYSTOFANES!...

W Paryżu wystawiono w jednym z teatrów awangardowych *„Pokój"*, — „wolną adaptację" (przyswojenie), według oryginału greckiego dokonaną przez znanego dramaturga francuskiego Franciszka Porché. Widowisko wyreżyserował, inscenizował i odegrał w niem rolę naczelną słynny aktor paryski Karol Dullin.

„Pokój" wstępnym bojem zdobył wielkie powodzenie. Premjera została przyjęta wręcz entuzjastycznie. Przy wyjściu z teatru słychać było same zachwyty.

— Znakomicie się udało Porché'mu! Kapitalna sztuka! Co za dowcip! Jaka fantazja! Jakie bajeczne pomysły! Brawo, brawo, Porché!

— A co za wspaniałe widowisko zrobił z tego Dullin! Jaką świetną stworzył figurę! Brawo, brawo, Dullin!

— Brawo obydwaj: Porché i Dullin! Dullin i Porché!!...

— Nie zapominajcie panowie i o niejakim Arystofanesie — dorzucił ktoś nieśmiało z boku...

POSZKODOWANY OFFENBACH

Z życia zmarłego przed rokiem świetnego muzyka i dyrygenta, dyrektora Opery państwowej w Wiedniu, Franciszka Schalka, przypominają pisma wiedeńskie między innemi następującą anegdotę:

Pewien młody kompozytor wiedeński pozwał przed sąd swojego kolegę o to, że ten ściągnął mu z jego kompozycji melodje do swojego utworu.

Celem rozstrzygnięcia sporu zaproszono na rozprawę dyrektora Schalka jako rzeczoznawcę. Na sali sądowej zainstalowano fortepian i polecono zaangażowanemu specjalnie muzykowi odegrać kolejno przed Schalkiem obydwa utwory.

— Co pan sądzi, mistrzu? — zapytuje sędzia po odegraniu utworów. — Kto tu jest poszkodowany?

— Offenbach, panie sędzio.

Z MUZYKI

NIEUDANY EKSPERYMENT.

Na symfonicznym koncercie w dn. 31 b. m. grał mistrz Alfred Cortot koncert *f* Chopina w zmienionej — własnej — orkiestracji.

Staraliśmy się słuchać bez uprzedzeń, przez wzgląd na nazwisko artysty, jego wielką kulturę, wybitną inteligencję i smak, cechujący tego wytwornego francuza.

Spotkało nas przykre rozczarowanie.

Rozumiemy poniekąd założenie i podniety, jakie kierowały pianistą. Zarzuca się Chopinowi naiwność jego orkiestracji, chciałoby się dociągnąć ją do poziomu, do wyżyn jego uwielbianej twórczości fortepianowej.

„Das verschleierte Bild zu Sais" — zemściło się srodze; widać bóstw nie wolno tykać świętokradczą ręką.

Bo i cóż usłyszeliśmy? Pomimo wielce pomysłowej instrumentacji, doskonałych ujęć, starannie, do pewnego stopnia z pietyzmem, utrzymanego stylu, pomimo chwilami pięknych modyfikacji (zwłaszcza koniec części drugiej, stało się to, co należało przewidzieć.

Partja orkiestrowa, pomyślana przez Chopina jako akompanjament, wysunięta na plan bliższy, została zbrutalizowana. Przestępstwo pociągnęło za sobą karę: by nie zbladła, nie znikła, musiano partję fortepianową — tę perłę literatury muzycznej, osnutą z mgieł i poezji—również zbrutalizować... w wykonaniu, pozbawiając ją największych skarbów — powiewności, finezji, czaru. Wyszło horrendum.

Żyjemy w czasach, gdy modnem się stało modernizowanie dawnych arcydzieł. Nerwy współczesnych, nasza wrażliwość wymagają niekiedy odnowienia starych walorów. Ale nie trzeba zapominać, że obok pierwiastków doczesnych, przypadkowych lub nieistotnych, tkwią w każdem arcydziele pierwiastki zasadnicze, poniekąd wieczne, stanowiące istotę utworu. Tych ruszać nie należy.

Eksperyment piątkowy ma tę dobrą stronę, że prawdę powyższą uwydatnił.

Na tym samym koncercie wykonano poemat symfoniczny „Feste Romane", O. Respighi'ego, ojca włoskiego modernizmu.

Czuć w niem silny wplyw nauczyciela, Rimskij-Korsakowa, tkwi ono jeszcze korzeniami w wieku zeszłym, ale wnosi duże walory nowe: przepiękną instrumentację, impet, rozmach, koloryt. Brzmi pięknie, choć nuży cokolwiek zbyt jednostajnemi „fortissimo" blach.

M. Kl.

Słucham Radja

Słyszymy coraz częściej narzekania na programy radjowe. Już dawno minęły czasy, kiedyśmy niezdarnie nakładali ciężkie słuchawki na oszołomioną ze zdumienia głowę i dziwili się, że naprawdę słychać.

Nie było wówczas ważne, co nadawała stacja: — w słuchawkach strzelało jak z pistoletu, prosto w bębenek, a nas i to zachwycało!

Zresztą było pięknie! Pieniądze przelewały się. Ludzie chodzili po teatrach, kinach, koncertach. Byli podobno nawet tacy, którzy nie korzystali ze zniżek i płacili pełne ceny. Podobno! Radjo jako curiosum stanowiło ułamek codziennych rozrywek.

Te czasy minęły. Dzisiaj radjo jest dla setek tysięcy słuchaczy jedyną rozrywką. Za niewielką opłatą miesięczną mogą przez dziesięć godzin dziennie korzystać z programów. I korzystają, bo inne przyjemności są w szczupłych ramach kryzysowych budżetów niedostępne.

Nic dziwnego, że zwiększa się skala wymagań, zmniejsza entuzjazm, powstają skargi i narzekania. Wynika to z coraz większego zasięgu radja i trudności równoczesnego zadowolenia tak rozbieżnych gustów. Nie należy się łudzić, by dyrekcja programów zdołała zadowolić wszystkich słuchaczy. Tem więcej, że państwo, jako udziałowiec Pol. Radja, narzuca szereg słuchowisk niezbyt ciekawych.

Pewne rzeczy dadzą się jednak niewątpliwie poprawić i zmienić. Trudno naprzykład uwierzyć, by nie można było zmniejszyć przerażającej ilości różnego rodzaju komunikatów. Jak rok długi, codziennie karmią nas komunikatami: meteorologicznemi parę razy dziennie, eksportowemi, gospodarczemi, policyjnemi dla rybaków, żeglugi, narciarzy, ogrodników i t. p. Znam radjosłuchacza, którego zwykłe słowo „komunikat" doprowadza do ostrego ataku szału. Nic dziwnego, najokrutniejsze tortury chińskie polegały na jednej kropli wody, spadającej w równych odstępach na głowę związanego skazańca. Komunikaty najregularniej, codziennie, podają nam przez cały długi rok. Nie chciałbym bawić się w porównania, wierzę, że pewien drobny odsetek tych komunikatów jest nawet potrzebny, ale miejcie litość! Pomyślcie o tym skazańcu!

W ubiegłym tygodniu około piątej popoł. przerwano nagle nadawanie dobrej płyty gramofonowej. Rozległy się trzaski, dzwonki i wołania: „Tu próba polskiego radja". Trwało to parę minut, przerywane muzyką".

Jest to drobiazg, ale przykry zgrzyt, zwłaszcza, że nie uważano za właściwe zapowiedzieć tej próby, usprawiedliwić się lub przeprosić słuchaczy.

Czy jest do pomyślenia n. p., by dyrekcja teatru przy pełnej sali słuchaczy urządziła ni stąd ni zowąd próbę dzwonków alarmowych albo sprawności działania żelaznej kurtyny? Są pory dnia i nocy, w których stacja nie nadaje programów, jest więc dosyć czasu na próby.

Nie należy zapominać, że słuchacz jest klijentem radjostacji i ma prawo wymagać, by go nie lekceważono.

NEKROLOGJA



Ś. p. Juljusz Herman, który po krótkiej chorobie przeniósł się do wieczności, był w dobie przedwojennej jedną z najwybitniejszych postaci naszego świata handlowego i artystycznego. Z zawodu był kupcem, prowadził wielkie przedsiębiorstwo ekspedycyjne, był jednym z twórców tramwajów elektrycznych w Warszawie, sprawował wysokie urzędy w organizacjach handlowo-społecznych. Ale z duszy był artystą. Sam — utalentowany, subtelny malarz — przyjacielem był bliskim i oddanym wszystkich niemal sławniejszych artystów przedwojennej doby. Przez długi szereg lat był prezesem Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, posiadał jedną z najpiękniejszych galerji współczesnego malarstwa polskiego, dopomagał czynnie młodym artystom, dom jego był ogniskiem życia artystycznego. Bo ś. p. Juljusz Herman narówni z malarstwem kochał muzykę. Jego pieśni bvły nieraz śpiewane na koncertach artystów obojga płci, a przytem człowiek cichy, nie goniący za zaszczytami, zadowolony, gdy powiodło mu się dokonać czegoś pożytecznego, entuzjasta i hojny mecenas w dziedzinie sztuki. Lepiej się działo naszym artystom, gdy mieli takich przyjaciół, takich wielbicieli każdego szczerego talentu. A przy tem wszystkiem ś. p. Juljusz Herman zostawia pamięć człowieka nieskazitelnego charakteru, niezdolnego do żadnych kompromisów, — obywatela rozumnego, prawego i szlachetnego. Żegnaj, drogi przyjacielu i towarzyszu z młodych lat! Niech Ci ziemia lekką będzie. *S. K.*

NA BEZDROŻACH KINA

Ktoś, kto przejrzał tajniki fotografji, jej ułudy i możliwości, oraz potrafił ją wkońcu wprawić w ruch, stworzył kino.

Owe ruchome obrazki była to sztuczka i ciekawostka, równa sztuce połykania noży czy stawania na głowie, równie daleka od jakiegokolwiek piękna, jak ówczesna fotografja — od sztuki.

Ale dając człowiekowi coraz większe techniczne możliwości stwarzania pozorów życia, kino z niebywałym wręcz rozmachem zdobyło sobie prawo istnienia i rozwoju, zdobyło masy.

Niepodobna się dziwić, że kina przy narodzinach nie pielęgnowała żadna muza, nie mogło bowiem być inaczej, gdyż sama fotografja musiała odbyć olbrzymią drogę rozwojową, aby wznieść się do poziomu sztuki, co właściwie dopiero dziś możemy podziwiać.

To, rzecz prosta, pociągnęło za sobą poważne następstwa. Kino, nie myśląc o pięknie, stwarzało filmy trickowe, cowboyskie, bandyckie itp., świetnie umiało pokazać bokaterów łażących do góry nogami, skaczących z ulicy na szczyt wieży Eiffla, umiało dalej urządzać prawdziwe pożary, prawdziwe powodzie i inne kawały, których w teatrze nie można było zobaczyć.

Stąd film natychmiast stał się przytułkiem wszelkiego rodzaju kuglarstwa, błazenady i prostactwa, wygnanych dawno ze sceny. Można to jeszcze teraz oglądać choćby w t. zw. „komedji amerykańskiej". Niekulturalny widz brał ten towar bez targu i masowo, chciał tylko wesołości i „życia". Otóż dla owego „życia", a więc natury, ruchu i t. d., wytwórca musiał z konieczności wysilać się cor z więcej i rozbudowywać swoją technikę; dlatego reżyser filmowy musiał być pomysłowym mechanikiem i to przedewszystkiem mechanikiem po wsze czasy. A aktor?

Znamienne pod tym względem jest pewne oświadczenie Mary Pickford, która rzekła, że zawsze z największym szacunkiem odnosi się do wszystkich, choćby podrzędnych, pracowników w wytwórni, bo nigdy nie wiadomo, czy który z nich nazajutrz nie zostanie wybitnym reżyserem lub aktorem. (Wyobraźmy sobie w tem miejscu mechanika w teatrze, podnoszącego pół życia kurtynę, który ni stąd ni zowąd zostaje Szekspirem albo Solskim!).

Otóż to było możliwe od chwili, kiedy odkryto fotogeniczność, zresztą wielką zdobycz kina i fotografji. — Ktoś, co jej odpowiadał, mógł z miejsca zostać gwiazdą, na ekranie mógł być piękny, ponętny i zajmujący. Ale czyż mógł się kto kiedy łudzić, że każdy osobnik fotogeniczny, albo nawet obdarzony szczególną intuicją filmową, jest artystą, lub bez najmniejszego przygotowania potrafi dobrze grać? Fotogeniczność i rozwój techniki, stwarzając szczególne walory kina, jednocześnie dzięki ubóstwu duchowemu wytwórców zaciężyły nad jego artyzmem w sposób wręcz fatalny.

Wprawdzie kino w parze z fotografją przeszło olbrzymią drogę rozwojową i dokonało wielkich i istotnych zdobyczy w dziedzinie piękna czysto wzrokowego, ale znów, rozwijając się niemal wyłącznie po tej linji, nie rozwiązało zasadniczo zagadnienia artystyczności filmu. Kiedy film pod względem piękna wzrokowego wzniósł się do poziomu np. „Nibelungów", aktorzy zgrywali się, jak ostatnie gwiazdy operowe i operetkowe, a już wręcz przypadkowo zdarzało się, aby scenarjusz miał wogóle jakiś sens, a w szczególności artystyczny, jak choćby w owych „Nibelungach", bezsprzecznie jednym z największych arcydzieł kina.

I tu zachodzi ciekawe zjawisko. W przemyśle filmowym zjawili się wkońcu prawdziwi artyści, jak Griffitch, Murnau, Eisenstein, pod wpływem Chaplina dokonała się wielka zmiana w stylu gry aktorskiej, od czasu do czasu zaczęły się pojawiać filmy w pełni artystyczne. Kiedy było pewne, że film odkrył własną drogę do sztuki i kroczy po niej mocną stopą, wtedy nadeszła katastrofa!

Po pierwsze wywołały ją filmy domowego wyrobu — „nasze". Gdyby w swoim czasie Kochanowski usiłował wedrzeć się „na skałę pięknej Kaliopy, gdzie dotąd nie powstał ślad polskiej stopy" w ten sposób, że płodziłby poezje w rodzaju „Strasznej zbrodni rodzonej matki, która zabiła syna za dolary", albo gdyby dziś, w epoce Remingtona, znalazł się ktoś, kto zorganizowałby wielką wytwórnię gęsich piór do pisania, to obu takich panów uważalibyśmy za nieszkodliwych warjatów, a oniby napewno na tem pieniędzy nie zrobili. Tymczasem różni krajowi macherzy filmowi postanowili dowieść, że i oni potrafią kręcić korbą przy aparacie. Jak to wygląda jeszcze teraz właśnie na naszem podwórku, nie trzeba przypominać. Ale szwindel udał się. Dla publiki była to nowa ciekawostka, rodzaj nowej egzotyki. Podziw, że i „nasi" mogą się ruszać po ekranie, przysłaniał wszelkie wady krajowych filmów, a wynikające stąd rozzuchwalenie rycerzy tego przemysłu wywołało istną powódź obrazów,

urągających już nietylko najskromniejszym wymaganiom kultury i sztuki, lecz wręcz przyzwoitości.

Wreszcie nadeszła druga katastrofa: film dźwiękowy. Wprawdzie dźwiękowiec rozszerzył możliwości kina, dziś zdobywa z powrotem dawne pozycje, lecz w pierwocinach swoich doprowadził sztukę filmową do ruiny. Był to prawdziwy najazd barbarzyństwa.

Jeżeli wówczas kino nie upadło całkowicie, stało się to zapewne dlatego, że dla szerokiej publiczności znów była to ciekawostka, ordynarna, rozdzierająca uszy, bezsensowna, ale ciekawostka.

Stąd wniosek: kino ciągle błąka się między techniką a sztuką. Ze względu jednak na to, że kino współczesne stało się obrokiem duchowym mas, winno zwrócić baczną uwagę czynników kulturalnych. Jest rzeczą doniosłego znaczenia stworzenie fachowej i poważnej krytyki filmowej nakształt literackiej, któraby wychowywała zwolenników kina i umiała narzucać swe wymagania wytwórcom. W ten tylko sposób nieustannie wyrywająca się naprzód technika da się podporządkować nakazom artyzmu.

T. Bur.

W kinach warszawskich

Wśród dwu wyświetlanych obecnie komedyj pierwszeństwo przyznać należy filmowi czeskiemu. Amerykański Buster Keaton został pobity przez europejskiego Buriana.

Burian gra w „swojskiej" komedji „Obraza majestatu", w Kino Palace, wyróżniającej się korzystnie pomysłowym scenarjuszem.

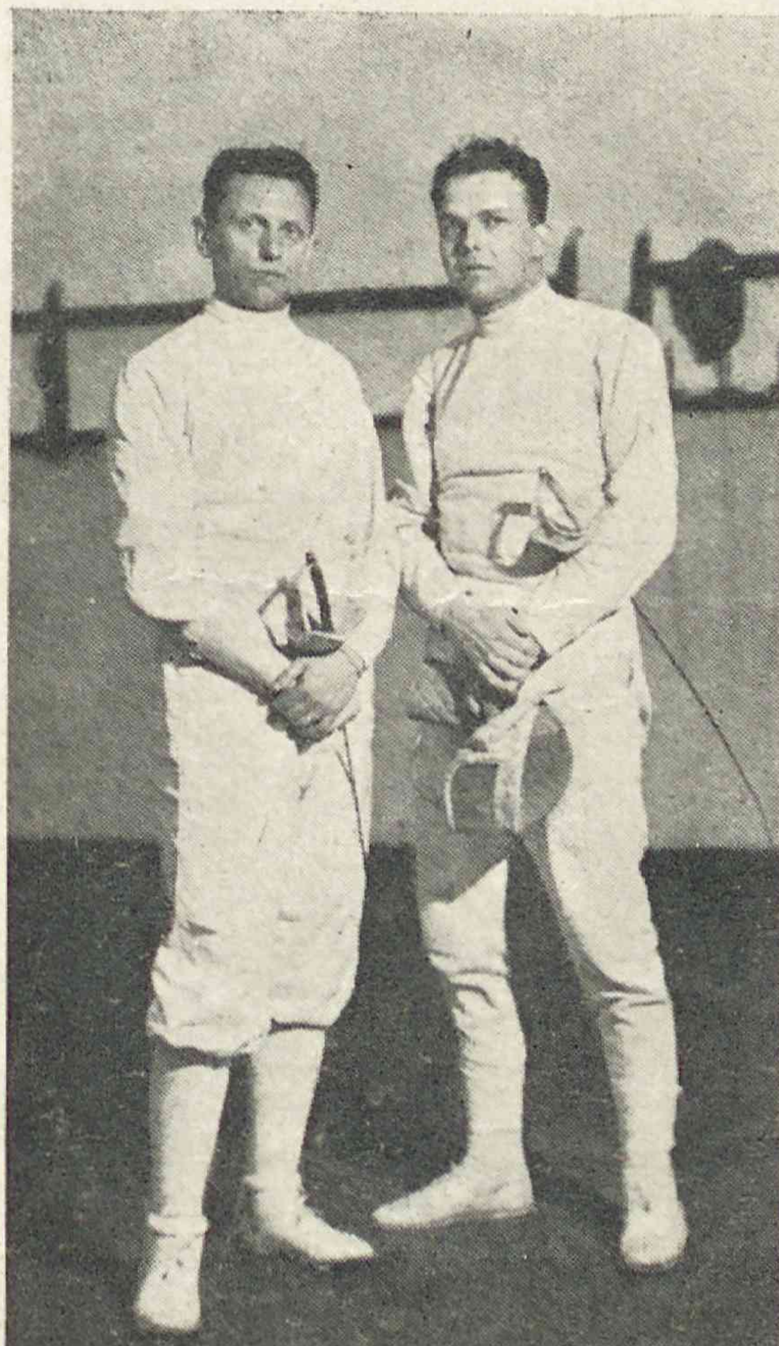
W przeciwieństwie do „Obrazy majestatu" — „Pośrednik miłości" z Buster Keatonem posiada wątłą fabułę, a wszystkie „gagi" i dowcipy reżyserskie są stare, ograne, zużyte.

Dowcipny i oryginalny pomysł miał Lubicz, tworząc film „Gdybym miał miljon", kino Colosseum. Przed śmiercią nieomal w ostatniej chwili swego życia miljoner sknera rozdaje siedem miljonów dolarów pomiędzy 7 przypadkowych osób. Co się dzieje z pieniędzmi? Oto pytanie, na które daje odpowiedź ten film. Każdy akt opracował inny reżyser, w każdym grają inni aktorzy. Lubicz jednak zdołał zmontować te odrębne części w jedną, konstrukcyjną całość.

Jako duży sukces polskiej kinematografji uznać należy film „Pod Twoją obronę" (kino Apollo). Szlachetna tendencja filmu potraktowana została dyskretnie. Poraz pierwszy bodaj reżyser wykazał wielkie umiejętności nietylko w inscenizacji scen zbiorowych, montażu, w potraktowaniu formy kinowej, ale również w wyreżyserowaniu aktorów. Brodzisz, Bogda zostali podciągnięci do poziomu świetnych i rutynowanych artystów, Walter osiągnął całkowity triumf, stając w jednym rzędzie z komikami zagranicznymi. Wielkim plusem jest również technika. Dźwięki i głosy są czyste, jasne, wyraźne (atelier Falanga).

(j. fr.).

Szermierze polscy



Kpt. Segda zdobył dwa tytuły mistrza Polski w szpadzie i szabli. Friedrych mistrz Polski we florecie

Czy puder jest szkodliwy?

Nie dziwne, że utarło się mniemanie o szkodliwości pudru, skoro smutnem doświadczeniem opłaciły kobiety fatalne skutki po dawnych pudrach z zawartością gwałtownych trucizn, które nietylko przedwcześnie niszczyły cerę, lecz zatruwały organizm. Dziś zastąpione są trujące metale w przeważnej liczbie pudrów— zupełnie nieszkodliwemi składnikami i tak n. p. roślinny puder *egzotyczny* D-ra Lustra odznacza się nietylko zupełną nieszkodliwością, lecz wpływa nader dodatnio na cerę drogą zmiękczania twardego naskórka i chronienia cery przed zmianami atmosferycznemi. Nadmienić należy, iż dla osób o tłustej cerze wskazany jest odtłuszczający puder *higjeniczny* D-ra Lustra.

HUMOR

WSPÓŁCZESNE PODLOTKI.

— Ojciec twierdzi, że przed ukończeniem 20-ego roku życia nie należy wychodzić za mąż.

— Średniowieczne przesądy! Gdybym nie miała nadziei, że do tego czasu rozwiodę się przynajmniej ze trzy razy, życie nie przedstawiałoby dla mnie żadnego uroku...

Z dziedziny kosmetyki

Kończą się mrozy, zaczyna się wiosna, a znią słońce, które coraz więcej grzeje i którego z utęsknieniem czekałyśmy. Trzeba jednak pamiętać, że słońce, wywierając zbawienny wpływ na organizm, bardzo ujemnie działa na cerę, i że teraz właśnie powinnyśmy zwrócić na to uwagę, aby wiosenne promienie słońca nie zepsuły nam cery. Dlatego radzę już teraz zacząć stosować *„wschodni płyn Mimosa"*, którym należy nacierać twarz rano i wieczorem, a także choć raz wśród dnia. Szczególniej okolice nosa i brody, gdzie najprędzej wydziela się tłuszcz i tworzą czarne punkciki (wągry). Jeżeli będziemy stosowali przez dłuższy czas *„wschodni płyn Mimosa"*, to unikniemy nierównomiernego opalania się, które nie każdej cerze robi do twarzy, a następnie utrzymamy cerę czystą, gładką, bez pryszczy i ciemnych punkcików. Która z pań chce specjalnie wybielić cerę, to polecam jej, *prócz płynu* Mimisa, pudrowanie twarzy na noc nie pudrem, lecz wybielającym pyłkiem *„Juvenia Candida"*. W dzień, aby zapobiec zatykaniu porów i tworzeniu się tak zwanej tłustej cery, radzę pudrować twarz tylko nietłustym *pudrem Abarid*, który doskonale odświeża i ożywia twarz, a w skład którego wchodzą sproszkowane części cebulek liljowych (Lilium Candidum), których działanie jest znane jeszcze z czasów starożytnych, jako ożywiające i popełniające zużytą tkankę skóry. Dlatego też polecam zawsze gorąco *„krem puder i otrąbki Abaridowe"*, które zawierają sok i sproszkowane części powyższych cebulek, a których nadzwyczajne działanie na cerę niejednokrotnie stwierdziłam w swej wieloletniej praktyce.

M-me Ercèdes.

WIOSNA NADCHODZI

Nie znam gorszego momentu, jak otworzenie wiosną szafy i przejrzenie zeszłorocznej garderoby. Bo prawie wszystko jest niezniszczone, a wszystko jest niemodne — przynajmniej dla mnie — straciło wdzięk nowości.

Zaczynają się pomysły przeróbek i farbowań, wkrótce się jednak okazuje, że przy wysokiej cenie roboty a niskiej materjałów — to się nie opłaca. Taniej — kupić nowe. Z tą, bądź co bądź, radosną decyzją zaczyna się bieganie po pokazach mody, po sklepach z żurnalami — wreszcie lądujemy u swojej doskonałej, jedynej i t. d. krawcowej i zaczyna się męka decyzji: jaki fason, jaki kolor, czy w jednej sztuce transformable płaszcz, suknia, kotsjum, bluska, pyjama, czy też każde inne. Chcąc troszkę ułatwić życie skołatanym moim siostrom, daję kilka rad zbawiennych:

1. Nigdy nie farbuj.
2. Rzadko przerabiaj.
3. Nie kupuj resztki materjału o metr więcej, bo tanio: do tego metra będziesz zmuszona dokupić trzy czegoś, co pasuje.



4. Nie szyj na zapas.
5. Czekaj sezonu, aż się moda ustatkuje.
6. Noś w danym sezonie wszystko w jednym tonie, jeśli cię nie stać na kilka zgranych w kolorze kompletów.

A teraz, co modne?

Płaszcz na ulicę na chłodne dni jasny beige, lub szary, bez futra z dużemi otwieranemi klapami. Na upał krótki płaszczyk prosty, ciemny, pasujący kolorem do zasadniczych tonów sukien.



Suknia obcisła, prosta, mało cięć, mało fałd, dość krótka, rękaw przeważnie krótki, ulubione przybranie z organdiny białej, wycięcie okrągłe pod szyją.

Kostjum krótki, prosty, nie krawiecki sztywny, a pełen wdzięku kobiecego kroju.

Bluzka z krótkiemi rękawkami, długość do pasa, lub z małą baskinką w formie kamizelki. Modne są bluzki ciemne do jasnych kostjumów, co jednak prędko się opatruje i ciężko wygląda. Lepiej wykorzystać modę bluzkową w jasnych, młodych barwach.

Kapelusz mały podobny do rondelka, lub większy tak zw. „cannotier".

Szalik nieodzowny, zdradzający gust, fantazję, nastrój pani.

Torba z rafji, materjału, filcu, skóry, dopasowana do jakiegoś szczegółu ubrania.

Rękawiczki z mankietem odpruwanym do prania, a zrobionym z materjału sukni lub przybrania.

Pończochy modne w prążki „djagonal"; niema ich zresztą w Warszawie, o jeden kłopot mniej.

Twarz mniej uszminkowana, poleca się prosty dłuższy nos, trochę większe usta.



Włosy mogą być naturalne, gdyż w słońcu prawie zawsze znać farbę.

Figura wysoka, szczupła, o dziewczęcych biodrach i piersiach.

Tych kilka rad wystarczy, żeby za panią na ulicy szła smuga spojrzeń zachwyconych, ciekawych, zawistnych...

aj. aj.





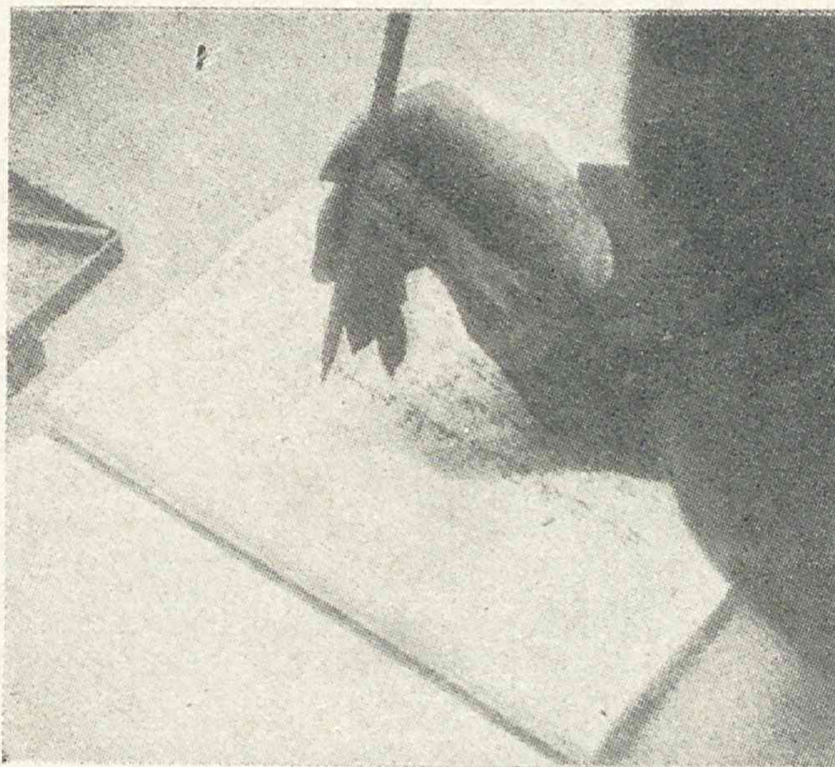
Maleńki jubileusz

Zespół miłośników sceny przy Zjednoczeniu Pracowników Rzemieślniczych w Warszawie, pragnąc zadokumentować trzechlecie swojej działalności, wystąpił dn. 1 b. m. z uroczystem widowiskiem „Gdy finał rewji kończy się walczykiem na trzy pas".

Na bogaty program złożyły się popisy wokalne, taneczne, skecze w wykonaniu szeregu amatorów, którzy nie szczędzili trudów, aby widowisku nadać poziom najwyższy. Inną miarę oceny stosować należy do artystów zawodowych, a inną do amatorów, u których niejednokrotnie zapał pokrywa brak rutyny i doświadczenia. I w tym wypadku zamiłowanie było najpiękniejszą ozdobą programu, świadcząc o dodatnich wynikach pracy zespołu miłośników sceny i ruchu kulturalnym wśród pracowników rzemieślniczych.

Licznie zebrana publiczność, wypełniająca salę do ostatniego miejsca, nie szczędziła gorących oklasków wszystkim wykonawcom, z pełną temperamentu wykonawczynią piosenek rosyjskich p. Stanisławską na czele. Zespołowi orkiestrowemu należy się też wyróżnienie.

w.



Medycyna chińska

Oczy całego świata są dziś zwrócone na Chiny. Wypadki rozgrywające się tam mogą doprowadzić do zawieruchy, której ofiarą padnie conajmniej połowa ludzkości. Państwo Niebieskiego Smoka — to kraina wszelkich możliwości i kon-



Skutecznem lekarstwem jest rosół z pająka

trastów. Podczas gdy jedna część obywateli cywilizuje się gwałtownie, czego widomym znakiem jest wymordowywanie się z karabinów najnowszych systemów i wytruwanie gazami, druga tkwi w zabobonach prahistorycznych wieków.

Typowym przykładem naukowego barbarzyństwa jest medycyna chińska. Aczkolwiek wielu skośnych studentów kształci się na uniwersytetach Zachodu i zostaje potem powagami lekarskiemi, sławnymi na cały świat bakterjologami czy chirurgami, to jednak obok nich cieszą się autorytetem i wzięciem tysiące znachorów i guślarzy, wobec których nasi owczarze i domorośli „ziołowcy" mogą uchodzić za wykształconych.

W medycynie chińskiej, od której Europa przejęła lecznictwo wieloma środkami, jak rtęć, rabarbarum i t. d., najważniejszą rolę odgrywają pierwiastki nadzmysłowe, oddziaływujące na psychikę pacjenta. Chińczyk wierzy bowiem, że choroba nie wypływa z patologicznych zmian w organizmie, lecz jest zesłana przez złe duchy, którym należy się przeciwstawić i znaleść odpowiednie antidota.

Dzięki tego rodzaju pojęciom, gdy lekarz europejski przy złamaniu kości stosuje łupki, lub bandaż gipsowy, jego chiński kolega przywiązuje do uszkodzonego miejsca kurzą nogę, wierząc, że soki kurzej kości przejdą w ludzką. Skutecznem lekarstwem na wiele dolegliwości jest połykanie żywych jaszczurek, lub odwar ziół, ugotowanych z olbrzymim pająkiem. Eskulapi chińscy każą w wypadkach t. zw. „kurzej ślepoty" zjadać pacjentom kocie oczy. Bardzo popularnem lekarstwem jest korzeń pewnej rośliny koreańskiej, działający tak pobudzająco na serce, jak koffeina. Jest to medykament ogromnie poszukiwany i drogi; kilogram kosztuje około 100 dolarów.

Lekarze chińscy zwracają ogromną uwagę na puls. Na podstawie tętna ustalają djagnozę szeregu chorób. Każdy lekarz, po zbadaniu pacjenta, zapisuje sążnistą receptę, udzielając przytem wskazówek i zaleceń. Do najpopularniejszych należy pouczanie matek, aby nad rozpalonym na ulicy ogniem okadzały sukienkę chorego dziecka. W zabiegu tym dopatrzeć się można pierwszych prób dezynfekcyjnych.

Chińska medycyna dzieli wszystkie choroby na dwie grupy: gorączkowe i niegorączkowe. Pięć zasadniczych organów — serce, wątroba, śledziona, żołądek i



Okadzanie sukienki chorego dziecka

płuca—odpowiadają pięciu barwom, pięciu dźwiękom, pięciu planetom i tyluż stronom nieba. Przy pomocy odpowiednich zestawień i wyliczeń lekarz chiński ustala dopiero chorobę i zapisuje skuteczne na nią lekarstwo.

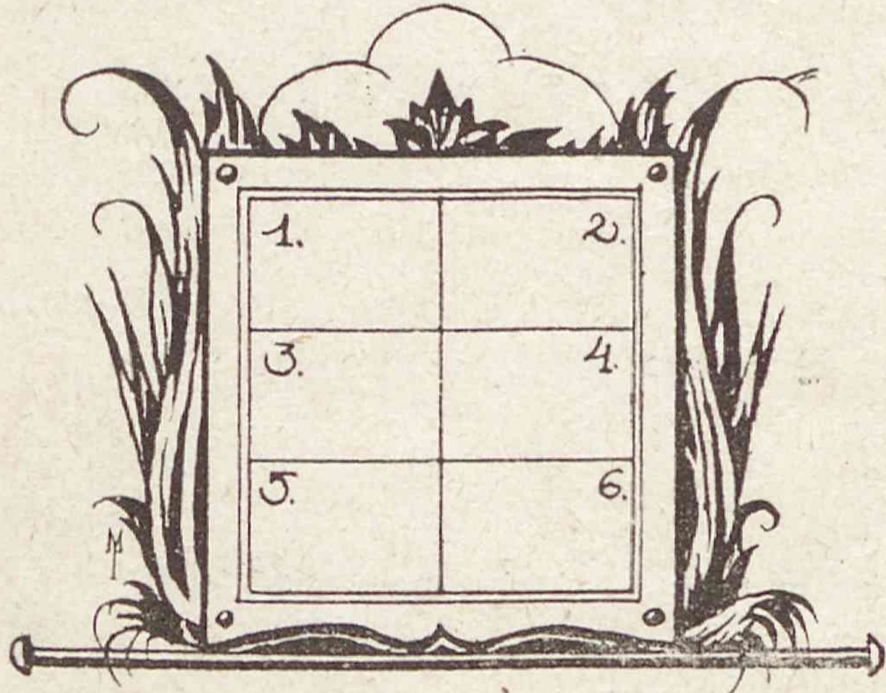
Wydaje się to trochę śmieszne. Ale czyż i u nas, w kraju mającym pretensje do cywilizacji, nie wierzy się jeszcze w „zamawianie" róży lub kołtuna?

j. s. w.

Rozrywki umysłowe

№ 105 (207) Wirówka sylabowa

(Za rozwiązanie 5 punktów).



W poszczególne kratki wpisać sześć pojedyńczych sylab, które czytane w kierunku wirowym, pozwolą odczytać słowa o następującem znaczeniu:

1—2. Sprzęt do składania zwłok. 1—4. Wielkie ilości. 1—6. Zdrobniałe imię kobiece. 2—3. Stworzenie zimnokrwiste. 2—4. Linje twarzy. 3—4. Instrument muzyczny. 3—2. Inaczej plecy. 3—5. Źródła nafty. 3—4—6. Inaczej sztachety. 4—6—3. Inaczej zgłoska. 5—6. Inaczej nabój. 5—4. Djabeł w gwarze ludowej. 5—6—4.Nogi w gwarze ludowej. 5—3. Wyspa na oceanie Atlantyckim. 5 — 1. Znajoma, sąsiadka. 5—2. Ptaki domowe. 5—3—6. Słynny lotnik polski. 6—1. Kosztowna materja. 6—2. Bóstwa domowe. 6—4. Zbiorowiska drzew. 6—3. Godziny wolne od lekcji w gwarze uczniowskiej.

№ 106 (208) REBUSIK

(Za rozwiązanie 3 punkty).



Rozwiązanie zadań

№ 100 (202). BRELOK.

1. Kokotka. 2. Owsisko. 3. Neseser. 4. Ideolog. 5. Egoista. 6. Cytryna. 7. Kurtyna. 8. Alkierz. 9. Ralueta. 10. Niemota. 11. Aranżer. 12. Wiadukt. 13. Alkazar. 14. Żzawnik. 15. Uliczka.—„Koniec karnawału".

№ 101 (203). ARYTMOGRAF.

1. Żołnierz. 2. Waćpan. 3. Dumka. 4. Libacja. 5. Struś. — „Samodzielność intelektualna jest probierzem wartości człowieka".

№ 102 (204). MOZAIKA.

1. Sicz. 2. Wizg. 3. Imaż. 4. Ensu (wspak). 5. Tren. 6. Yama. 7. Jaik. 8. Oaza. 9. Zahr. 10. Ewst. 11. Koma. 12. Wsuć. 13. Inch. 14. Emir. 15. Zega. 16. Indo. 17. Edyp. 18. Taśm. 19. Runo. 20. Agio. 21. Wnet. 22. Koga. 23. Iris. 24. Wieś. 25. Ósmy. 26. Zyza. 27. Egat. 28. Kara. 29. Leza. 30. Edug. 31. Cech. 32. Zoil. — „Święty Józek wiezie trawki wózek, lecz czasem i zasmuci, gdy śniegiem zarzuci".

Trafne rozwiązania nadesłali

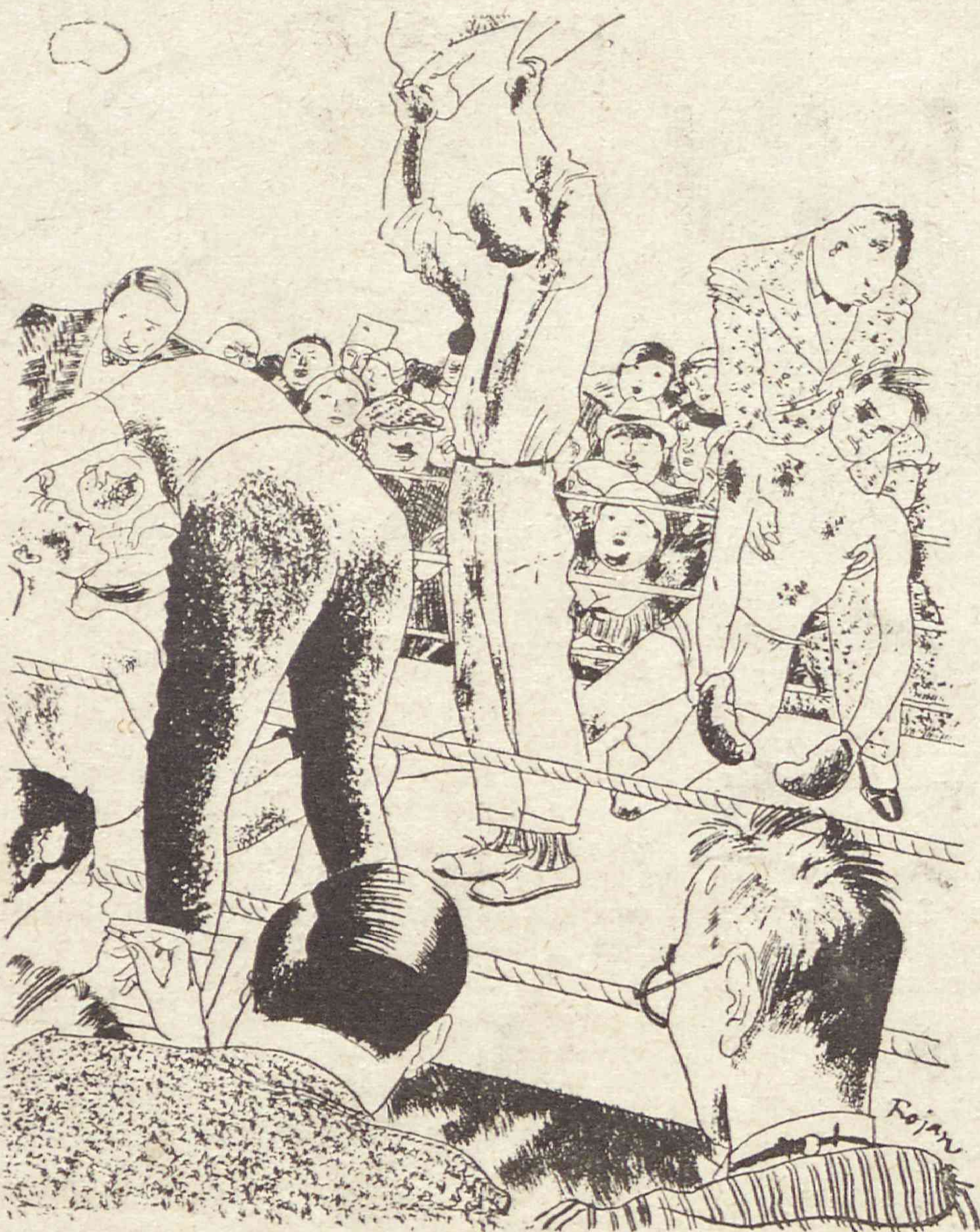
№ 100 (202). (Za trafne rozwiązanie 5 punktów). Jan Janczewski (Wilno). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Z. Kołaczkowska (Milanówek). Józefa Wolińska. Inż. Modrzejewski (Lublin). Marja Strubel. N. K. Kozłowski. Jawna Kowalska. M. Iwańczykowa. (Ostrowite). Kazimierz Lilpop. Dorota Herbstmanówna. Fr. Wiśniewski. Zenon Brenek. Kaz. Wiśniewski. Marja Bugajska (Kłobucko). Wacław Tyblewski (Poznań). S. Cywniska (Łomża). Jan Kowalski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Henryk Ostrowski. Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Waleski (Lwów). Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska.

№ 101 (203). (Za rozwiązanie 5 punktów). Zofja Oskierczanka (Oleszno). Janina Jentysowa. S. Cywniska (Łomża). Wacław Tyblewski (Poznań). Marja Bugajska (Kłobucko). Kaz. Wiśniewski. Zenon Brenek. Fr. Wiśniewski. Dorota Herbstmanówna. Kazimierz Lilpop. M. Iwańczykowa (Ostrowite). Jawna Kowalska. N. K. Kozłowski. Marja Strubel. Inż. Modrzejewski (Lublin). Józefa Wolińska. Z. Kołaczkowska (Milanówek). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin) Jan Janczewski (Wilno). Zofja Górska. Helena Millerowa (Kraków). Bolesław Nowak. Henryk Ostrowski. Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Waleski (Lwów). Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg. Gertruda Wolska. Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Feliks Siedlecki. Jan Kowalski. Tadeusz Ritter. Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Janina Solecka.

№ 102 (204). (Za rozwiązanie 10 punktów). Zenon Brenek. Inż. Modrzejewski (Lublin). Stefanja Cywniska (Łomża). Fr. Wiśniewski. N. K. Kozłowski. M. Iwańczykowa (Ostrowite). Wacław Tyblewski (Poznań). Jawna Kowalska. Marja Strubel. Zazimierz Lilpop. Kaz. Wiśniewski. Z. Tietz. Dorota Herbstmanówna. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecką. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Helena Millerowa (Kraków)—książkę.
Jan Janczewski (Wilno) — książkę.



— Boks zdaje się pana bardzo interesować. Czy pan uprawia ten sport?
— Nie, ale jestem fabrykantem sztucznych zębów.

Co otrzymuje prenumerator „ŚWIATA" za 5 zł. miesięcznie?

1) Co tydzień zeszyt „Świata" zawierający zawsze ciekawą i aktualną treść oraz obfite ilustracje;

2) Co tydzień kupon zniżkowy (50%) do b. teatrów miejskich w Warszawie;

3) Raz na miesiąc duży tom interesującej powieści.

Prenumerata miesięczna z odnoszeniem do domu: zł. 5.50, na prowincji zł. 6.—.

Cena pojedyńczego numeru wynosi w całej Polsce zł. 1.—.

Kolekcja rogów bawołów, antylop, kły hypopotamów, słoni, fakoszerów, skóry egzotycznych zwierząt, broń murzyńska, wyroby z hebanu i kości słoniowej do sprzedania u

W. Marylskiego

Majątek Pęcice, poczta Pruszków, pod Warszawą

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU



LATAJMY!
Taryfy zniżone.
Informacje w biurach podróży i u portjerów większych hoteli.



WSZYSCY NA WSPÓLNY FRONT DO WALKI Z GRUŹLICĄ



CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P